

Poznaj Świat

3

2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 48

POLSKA

PRZEDWIOŚNIE
NA PODLASIU

str. 80

INDONEZJA

JEDNOŚĆ
W RÓŻNORODNOŚCI

str. 88

HISZPANIA

NA FALI

Uzbekistan str. 8

*Wiosna,
ach, to ty!*

KARAIBY



STR. 96

RPA STR. 16

REZERWAT BIAŁYCH

MALEZJA STR. 34

OFIARA Z CIAŁA

PERU STR. 58

DWA WODOSPADY
I ZA DUŻO DESZCZU

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 614 902 0 3



W H Y T E
P E R F O R M A N C E B Y D E S I G N



Whyte T-130C R

Ścieżkowiec do zadań specjalnych

Obsypana nagrodami linia Whyte T-130 (m.in. Trail Bike Of The Year 2016, 2017) przechodzi gruntowne zmiany.

Najnowsza konstrukcja oparta jest o zawieszenie QUAD Whyte i geometrię Whyte OTO (ang. Optimised Trail Offset). Zwiększony skok widelca do 140mm przy równoczesnym zmniejszeniu offsetu do 37mm co zwiększa tzw. trail, który poprawia m.in. stabilności sterowania.

T-130C R wraz ze swoją nową karbonową ramą oferuje świetne podzespoły (m.in. nowy napęd NX Eagle, widelc RockShox Revelation Debonair Charger, damper Deluxe RT, czy opony Maxxis High Roller II TR 27.5" x 2.6") w bardzo atrakcyjnej cenie.



T-130C R
Sugerowana cena: 15.799 PLN

Znajdź nasz sklep na www.whyte.pl



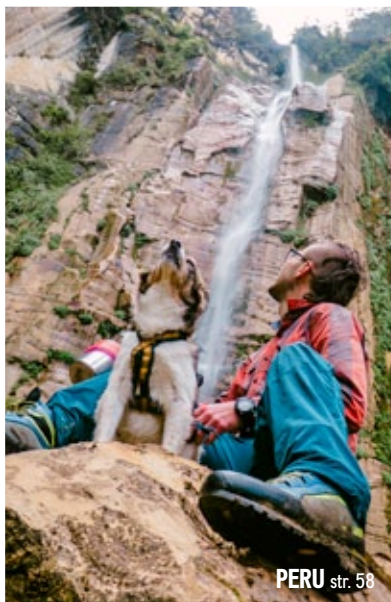
WŁOCHY str. 26



DOMINIKA,
GWADELUPA
str. 96



MALEZJA str. 34



PERU str. 58



AUSTRIA str. 70

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

UZBEKISTAN str. 8
Navruz to koniec zimy,
a w tradycji krajów Azji
Centralnej również
Nowy Rok.
Agnieszka Mikulec

RPA str. 16
Rezerwat białyh.
Elżbieta i Piotr Hajduk

POZNAJ ZWYCZAJ str. 26
Bez baru nie byłoby Italii.
Tomasz Skowronek

MALEZJA str. 34
Miliony hindusów
przybywają do Jaskiń Batu,
by umartwić się i zyskać
łaski bóstwa wojny.
Izabela Fifielska

GEOSKOP str. 44

POLSKA str. 48
Przedwiośnie na Podlasiu.
Mikołaj Gospodarek

PODRÓŻNOŚCI str. 56
Krawężnikowe łowy.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

PERU str. 58
Gocta, Yumbilla
i Tres Hermanas to trzy
z piętnastu najwyższych
wospadów świata.
Piotr Miklaszewski

NAVIGATOR str. 66

AUSTRIA str. 70
Zimowe przyjemności.
Magdalena Żelazowska

DŁUGO W DRODZE str. 78
Jak wychować sobie
outdoorowego psa?
Felieton Łukasza
Długowskiego

INDONEZJA str. 80
Yogyakarta
zawsze wyjątkowa.
Justyna Dzik-Wykrętowicz

HISZPANIA str. 88
Alicante to miasto na fali.
Marta Legieć

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
**DOMINIKA,
GWADELUPA** str. 96
Wypad na Karaiby.
Robert Gondek

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106
Na klasyczną i radosną nutę.
Felieton Anny Szczępsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
tradycyjnie ubrana
Uzbekka podczas
święta Navruz

Arkadiusz Kikulski

POLSKA

Przysmak na dnie lasu

Fotografia przedstawia młodego ślimaka winniczka (*Helix pomatia*). Zamieszkuje on obszary o dużej wilgotności, lasy, parki, ogrody. Żywi się świeżymi liśćmi. Zimuje w ściółce, ukryty pod roślinnością. Z Polski jest eksportowany do Francji, gdzie uważa się go za przysmak.



Wygraj wymarzone buty!

Chiruca

EXPEDITION II

Zgłoś udział do 31.03.2019!

Szczegóły na:

fb.com/ChirucaOutdoorPL #ChirucaExpedition

Patroni medialni:

GÓRY
GÓRSKI
MAGAZYN
SPORTY
SPORTYONLINE.COM

n p m

Koźnaj Świat
MIESIĘCZNIK

Zbigniew Kula

ETIOPIA

Szczęściarz

Krokodyl nilowy wygrzewa się na słońcu nad jeziorem Chamo w Parku Narodowym Nech Sar w Etiopii. Niestety inne krokodyle nie mają tyle szczęścia. Ich jaja lub młode są zabierane przez hodowców do farmy w okolicy Arba Myncz, gdzie po osiągnięciu dwóch metrów (zwykle w wieku 5 lat) są zabijane. Z ich skóry wytwarza się torebki, buty i paski sprzedawane w europejskich sklepach.





Jan Siemiński

POLSKA

Plener militarny

Gdynia-Babie Doły to popularne miejsce spacerowe wśród mieszkańców Trójmiasta i nie tylko. Odbywają się tutaj sesje ślubne, a sporo fotografów chce uwiecznić popadającą w ruinę torpedownię. Kręcono tu wiele filmów i seriali, m.in. jeden z odcinków „Czterech pancernych i psa”.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





Wiosna, ach, to ty!

Agnieszka Mikulec



FOT. RIVA KALOKARI



Jest poranek, niedziela przed 21 marca. Nadzwyczajny ruch na ulicach Taszkontu, sporo ludzi wokół szkół, szpitali, hoteli. Jedni zamiatają, inni wyrywają chwasty lub trawę wyrastającą pomiędzy płytkami chodników. Trwa malowanie ogrodzeń i krawężników. Pracujący wcale nie są ubrani jak służby komunalne, kobiety mają nawet ślady makijażu na twarzach. Co oznacza to poruszenie?



Pytam sympatyczną starszą panią, która, zdziwiona moją niewiedzą, wyjaśnia, że to ostatnia niedziela przed Navruzem, czasem wiosennej równonocy. Zatem nauczyciele, pielęgniarki, lekarze biorą udział w powszechnym porządkowaniu terenów wokół swoich miejsc pracy. *Navruz* to przecież koniec zimy, a w tradycji krajów Azji Centralnej również Nowy Rok.

Dekoruje się wiosennymi symbolami ulice, na słupach powiewają różnokolorowe flagi, na wietrze trzepocą ogromne fotografie dzieci w narodowych strojach. Nocą główne arterie miasta zdobią iluminacje w kształcie barwnych tulipanów, motyli, ptaków, słońca. Widać to również w parkach po rozkwitających na biało i różowo drzewach oraz dywanach fiołków.





**MĘSKIE GRANIE,
DAMSKIE PŁASZANIE**

Uzbecy mają taniec i muzykę we krwi. Wystarczy, że usłyszą granie w parku, restauracji czy na podwórku, a ustawiają się w kręgu i zaczynają podrygiwać. W święto Navruz jest to jeszcze powszechniejsze.

Na bazarach sprzedawcy latawców przeżywają prawdziwe oblężenie. Bardzo popularna jest w tym czasie *somsa* z zieleciną (tradycyjny pieróg, zazwyczaj pieczony z mięsem lub ziemniakami w piecach zwanych *tandyr*).

**PIERWSI ZACZĘLI
KOREANCZYCY**

Najpierw *Navruz* zaczęli świętować tutejsi Koreańczycy. Na terenie parku Przyjaźni w Taszkencie mają oni swój park Seulski.

Otwarty w 2017 r., ogrodzony murem, z kilkoma budowlami stylizowanymi na koreańskie. Aby tam wejść, trzeba zapłacić. Na scenie pojawiają się przedstawiciele koreańskich stowarzyszeń z całego obwodu taszkentckiego, tańczą i śpiewają. Ich występy są przeplatane quizami dotyczącymi znajomości kultury i geografii tego kraju. W międzyczasie można degustować narodowe potrawy – takie jak paszteciki gotowane na parze, marynowane warzywa z różnymi przyprawami, słodkie ryżowe ciasteczka.



FOT. AGNIESZKA MIKULEJ

Mnie najbardziej zainteresowało miejsce, gdzie można było poznać tradycyjne koreańskie gry. Na przykład podrzucano stopą specjalną zabawkę (*czegi-czagi*) tak, aby nie upadała na ziemię, rzucono pędami bambusa w wąski cylinder (*tuho nori*), przeciągano linę... Na pierwszy rzut oka gry wydają się proste, ale po pewnym czasie okazuje się, że potrafią w nie grać tylko najbardziej zręczni.

Tu nasuwa się pytanie, skąd tyłu Koreańczyków w Uzbekistanie (ok. 200 tys.). Otóż na początku XX w. w Kraju Nadmorskim, który

jest najdalej wysuniętą na południowy wschód częścią Rosji, żyła duża i już zasymilowana populacja Koreańczyków. Jednak Stalin, w swej polityce podejrzliwości i masowych deportacji, oskarżył ludność koreańską o szpiegostwo na rzecz Japonii i w 1937 r. odesłał ją do Kazachstanu i Uzbekistanu. Była to akcja wyjątkowa, bo obejmująca po raz pierwszy represjonowaną narodowość w całości – niemal 172 tys. Koreańczyków z sowieckiego Dalekiego Wschodu.

W 80. rocznicę tego wydarzenia otwarto w Taszkencie wspomniany park Seulski. Przy



FOT. RWA MALOKABIR

DZIEWCZYNA Z POSAGIEM

Sztuki haftowania dziewczęta były uczone od najmłodszych lat, bo same musiały przygotować dla siebie posąg w postaci wyszywanych tkanin zwanych *suzane*. Obecnie to bardzo popularna pamiątka z Uzbekistanu.

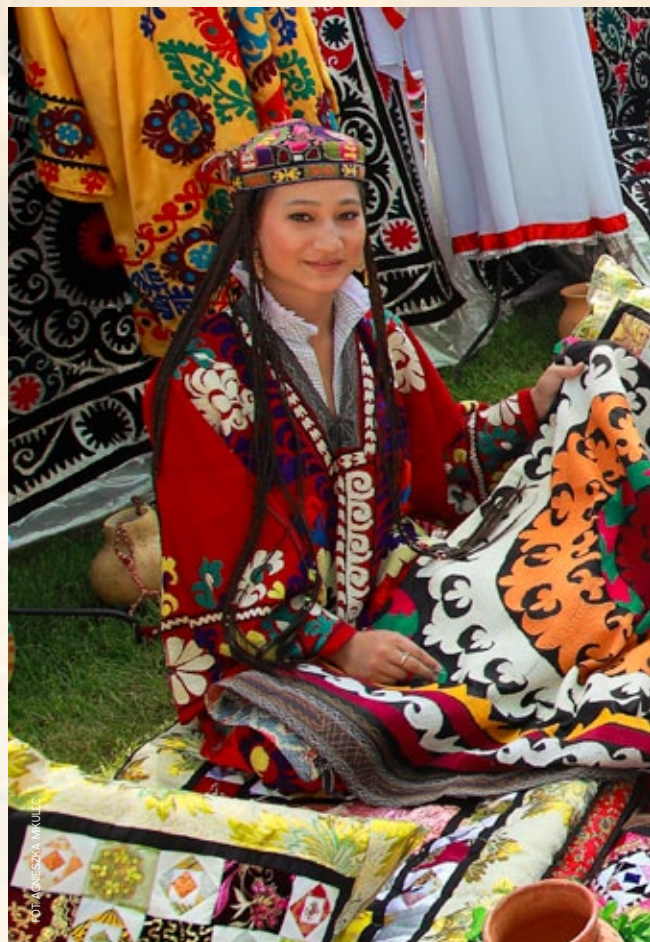
wjeściu do niego wita nas okolicznościowa tablica, na której widnieją podziękowania narodowi uzbeckiemu, że przyjął rzesze deportowanych i ugościł przysłowiowym chlebem, czyli *lepioszką*.

W 1993 r. Rada Najwyższa Federacji Rosyjskiej uznała za bezprawny ów dekret Stalina. Koreańczycy zostali zrehabilitowani i uznani za ofiary represji politycznych. Jednak z moich rozmów z nimi wynika, że nie chcą wcale wracać do kraju przodków, chociaż pielęgnują koreańskie tradycje, zwyczaje oraz uczą się języka. Nawet po zakończeniu uniwersytetów w Korei Południowej wracają do Uzbekistanu i tutaj szukają pracy.

JEDWABIŚCIE...

W przygotowanie Navruza włączają się nie tylko organizacje czy stowarzyszenia, ale również instytucje kulturalne. Oto trafiam na niezwykłą wystawę „Wiosenny jedwab”. W galerii zebrano kolorowe i bogate we wszelakie wzory, wykonane ręcznie, kilkumetrowe tkaniny. Dominuje głównie *adras* – uzbecki materiał bawełniany na jedwabnej osnowie. Jest też kilka pasów atłasu, wykonanego z czystego jedwabiu. Ekspozycja została tak pomyślana, aby pokazywała też strukturę przedstawianych materiałów.

Technologia produkcji jedwabiu jest trudna, gdyż najpierw farbuje się nici, z których



FOT. RWA MALOKABIR

potem powstaje tkanina. Wszystko jak w czasach starożytnych. Dlatego właśnie ten sposób wytwarzania został niedawno wpisany na listę UNESCO. Kuratorka wystawy opowiada, że prace jednego z artystów rzemieślników, Rasulzona Mirzaachmedowa, są niezwykle cenne, m.in. dlatego, że do farbowania nitki używa naturalnych barwników pochodzenia roślinnego. To on jako pierwszy, po odłączeniu się Uzbekistanu od ZSRR i odzyskaniu niepodległości, zapoczątkował powrót do tradycji tkactwa i założył cech, który liczy teraz prawie 2 tys. członków. Poznaję również historię jego ojca, który za to, że w czasach sowieckich tkął w domu *adras*, został aresztowany i osadzony na 5 lat w więzieniu.

Podążam za opowieścią przewodniczki niczym za nitką Ariadny, by pogłębić wiedzę na temat wykorzystywanych kolorów i wzorów. Generalnie sprowadzają się one do dwóch kręgów tematycznych: ochrony przed złymi mocami (stąd formy amuletów



oraz intensywność kolorów), a także zapewnienia płodności (motywność owocu granatu czy cylindryczne fallusowe kształty).

Dowiaduję się również, że dziewczyny wplatały w warkocze jedwabne nitki, aby to w nie, zamiast we włosy, wplątywały się nieprzyjemne duchy. Wierzono bowiem, że we włosach dziewczyny zamieszkuje część jej duszy. Z kolei biżuteria, na rękach czy nogach, służyła zagłuszeniu kroków kobiety, aby demony nie wiedziały, dokąd idzie, i nie podążały za nią.

SUMALAK – ELIKSIR ŻYCIA

Aby zrozumieć, czym jest *Navruz* w Azji Centralnej, udaję się na spektakl dla dzieci pt. „Navruz i Wiosna”. Najpierw dzieci zostają zaproszone do zabaw ukazujących przygotowania do święta: kto szybciej przyszykuje stół z potrawami, kto z zamkniętymi oczami nabiera więcej kwiatów do dekoracji domu,



PO UZBECKU
Smaczne okrągłe lepioshki, słodkie dojrzałe owoce, haftowane stroje, tiubietijki na głowach – to kwintesencja dziedzictwa kulturowego tego kraju.

PRZYSMAK Z KOCIOŁKA
Kto chce, może skosztować na bazarze sumalaka – przysmaku z kiełkujących ziaren pszenicy. U każdej sprzedawczynie smakuje on inaczej, pomimo że zrobiony jest z podobnych składników.



FOT. AGNIESZKA MIKULCZAK

ŚWIĘTOWANIE NA TAPCZANIE

Ten mebel to nieodzowna część tradycyjnej czajchany, do której dostęp mieli dawniej tylko mężczyźni. W czasie uzbeckiego święta wiosny tapczany są wynoszone nawet na miejskie place, a biesiadują na nich dziś również kobiety.

kto w rytm muzyki założy tradycyjny strój uzbecki, czyli *chatal*, czy chustę wokół bioder i nieodzowną tiubietiejkę (inaczej: krymkę, czapczkę ludów Azji Centralnej). Później odbywa się niezwykle malowniczy spektakl – jak to siły zła próbują nie dopuścić wiosny do ludzi. I wtedy pomagają... *sumalak*.

Przedmiot to? Magiczna siła? Stworek? Nic z tych rzeczy. *Sumalak* to przygotowywany z kiełkujących ziaren pszenicy tutejszy specyfik. Można go nazwać eliksirem zdrowia i młodości, ponieważ głównym składnikiem potrawy są właśnie kiełki. Ich lecznicze właściwości były znane ludzkości od czasów starożytnych, a obecnie wykorzystuje się je w medycynie oraz w przemyśle perfumeryjnym.

Od zawsze ściśle przestrzegano rytuału przygotowania *sumalaka*. Ludzie zbierają się w rodzinach, po sąsiedzku i gotują w dużych kotłach, nad ogniem, kiełki zboża z wodą, przez cały dzień i noc mieszając miksturę.

Na dnie umieszczają kamienie, aby nic się nie przypaliło. Według tradycji nadzór nad właściwym przygotowaniem *sumalaka* sprawuje najstarszy mężczyzna w rodzinie. Na bazarze sprzedawcy ustawiają swoje duże gary na stołach, pozwalają degustować i zachęcają do kupna. Znawcy tematu twierdzą jednak, że na bazarze nie ma prawdziwego *sumalaka*, ponieważ niektórzy dodają mąki lub cukru, aby był gęstszy i słodszy.

W spektaklu została pokazana jedna z wersji legendy, wyjaśniająca, jak powstał ten wiosenny, słodki przysmak. Biedna wdowa tuż po zimie, kiedy zapasy jedzenia się skończyły, martwiła się, że jej dzieci głodują. Prosiła Boga o pomoc, wtedy zjawił się Anioł i podpowiedział jej, co zrobić. Przygotowała kocioł i wrzuciła do niego ziarna pszenicy, które znalazła na ziemi, a z których zaczęły już wychodzić zielone kiełki. Dzieciom tłumaczyła, że posiłek będzie bardzo smaczny, muszą tylko



POWIEJE WIOSNĄ

Do rytuału witania wiosny należy także rodzinne, weekendowe puszczanie latawców, które można zawsze kupić u ulicznego sprzedawcy.

cierpliwie poczekać. Kiedy dopytywały co chwilę o jedzenie, matka odpowiadała, że jeśli wytrzymają jeszcze trochę, to doda mięsa, a wtedy wyjdzie pyszna potrawa. Mówiąc to, włożyła do kotła kilka kamieni, a dzieci uwierzyły. Potem, głodne i osłabione, zasnęły.

Matka mieszała pszenicę z wodą całą noc. Zmęczona, zdrzemnęła się na chwilę. Kiedy się obudziła, zobaczyła kocioł wypełniony po brzegi ciepłą, brązową substancją, a na jej powierzchni dostrzegła obraz anielskich skrzydeł... Kobieta nie tylko nakarmiła dzieci, ale i podzieliła się słodkim przysmakiem z sąsiadami, którzy również głodowali.

Po dziś dzień Uzbegy kultywują zwyczaj dzielenia się sumalakiem z sąsiadami i przyjaciółmi. Uważa się nawet, że aby mieć później szczęście, należy skosztować sumalaka z siedmiu różnych kotłów. Myślę, że w tym przekonaniu o dzieleniu się z innymi zawarta jest mądrość ludowa – przywołuje ona nie tylko upragnioną porę roku, ale też budzi wiosnę w sercu. ○



TKACZKA Z MARGILANU

Na Jedwabnym Szlaku znajduje się starożytne miasto Margilan, będące zagłębiem przemysłu jedwabniczego. Na zdjęciu tkaczka z tego miasta produkująca wzorzyste, kolorowe materiały.



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróży nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.

GÓRNE CHATY

Skarpa kanionu rzeki Blyde przepływającej przez Góry Smocze. Okrągłe formacje skalne przykryte „dachami” z trawy przypominają tradycyjne afrykańskie chaty.



Elżbieta i Piotr Hajduk

REZERWAT BIAŁYCH

Na południowym skrawku Afryki malownicze góry sąsiadują ze wspaniałymi kanionami, a wodospady z tropikalnymi plażami. Parki narodowe są pełne dzikich zwierząt. W pobliżu znajdują się też piękne, nowoczesne miasta. Prawie raj na ziemi, choć mający i swoje ciemne oblicza.



Johannesburg, światowa stolica złota, od lat zmagają się z przestępczością i przemocą. Na przedmieściach rządzi prawo dżungli. Zamożna część społeczeństwa żyje w ciągłym zagrożeniu, zamieniała swoje domy w bunkry z okratowanymi oknami i wysokimi ogrodzeniami. Liczba prywatnych ochroniarzy przekracza dwukrotnie liczbę policjantów. Miasto, które powstało pod koniec XIX w., szybko stało się największą metropolią Republiki Południowej Afryki. Dziś jest oszalałą mieszkanką przepychu i porażającej nędzy. Każdego dnia odnotowuje się tu znaczną ilość przestępstw, a turyści, zwłaszcza biali, to łatwy łup.

– *Lepiej poczekać na lotnisku* – ostrzega nas e-mail z wypożyczalni samochodów, w której wynajmujemy kampera. – *W żadnym wypadku nie bierzcie taksówki! Sami was odbierzemy.*

– *Dobrze się zastanówcie, zanim opuścicie lotnisko...* – radzą miejscowi ochroniarze.

ZŁE MIŁEGO POCZĄTKI

Nasz kamper lata nowości dawno ma za sobą, ale innego wolnego w wypożyczalni podobno nie było. Otrzymujemy pęk kluczy godny włamywacza, w sumie 15 sztuk, do każdego zamka inny. Niestety, nie wszystkie działają. Zewnętrzną klamkę z prawej strony można zamknąć tylko od wewnątrz. Do tego lodówka, mocowana na śrubkę, jest nieuszczelniona i z pewnością zwiększa zużycie akumulatora.

– *To dobry samochód* – zapewnia mechanik. – *Tylko uważajcie na zakrętach, bo bywa wywrotny. I zamykajcie drzwi od środka* – dodaje z troską. – *Zwłaszcza na peryferiach dużych miast.* Na szczęście mamy pełne ubezpieczenie. Pakiet nie obejmuje jedynie spalenia sprzęgła i przewrócenia auta.

Ledwie ruszamy, roznosi się niemiła woń czegoś palonego. Dopiero po chwili dociera do nas, że to właśnie może być sprzęgło. Stajemy. Po krótkim instruktażu mniej więcej wiemy, jak operować jego pedałem. Biegi wchodzi z dużym trudem i przy akompaniamencie głośnych zgrzytów, hamulce piszczą. Z tyłu rozlega się łomot. To jedna z szafek okazuje się zepsuta i z otwartego wnętrza wylatują garnki. Trudno, trzeba jechać, bo robi się późno, minęła trzecia po południu. Do parku Pilanesberg jest około 250 km, a wjazd zamykają o zachodzie słońca, około osiemnastej.

Mijane przedmieścia to zbiorowiska kilku światów. Najbiedniejsza, kolorowa ludność, emigranci z sąsiednich krajów, żyją w slumsach. Budynki najczęściej składają się z blachy falistej, tektury, kawałków desek. Bogatsi mieszkają w niedużych domach lub blokach. Biali zaś chronią swoje cenne życie w okazałych rezydencjach, ukrytych za wysokimi płotami, zwieńczonymi drutami pod napięciem oraz potłuczonym szkłem.

Niestety, gubimy drogę i trafiamy w rejon zamieszkały przez biedotę. Okolica jest



ponura. Młodzi mężczyźni stoją w grupach wzdłuż drogi, śledząc wzrokiem przejeżdżające samochody. Nie widać żadnego białego. W pobliżu znajduje się owiane złą sławą Soweto. To właśnie tam w latach 70. rozpoczęły się krwawe zamieszki, które w końcu doprowadziły do upadku polityki segregacji rasowej. Wprawdzie oficjalnie została zniesiona, ale dziś sytuacja się odwróciła: jeśli nie masz czarnej skóry, lepiej nie wysiadaj z auta.

Ruch na szosie jest spory, bo rozpoczyna się weekend. Dodatkowo pomiędzy autami przemykają slalomem busy lokalnej komunikacji zbiorowej. Tym zawsze się śpieszy. Jeden z nich zahacza o boczne lustro naszego kampera. Ciemnoskóry kierowca z piskiem opon zajechał nam drogę. Musimy zatrzymać auto. Wokół zdarzenia momentalnie gęstnieje tłum. Z potoku słów wynika, że to nasza wina. Zgromadzeni gapie patrzą nieprzyjaźnie. Z tyłu tworzy się kolejka aut. Sto randów momentalnie załatwia sprawę. Bus odjeżdża.

Niestety, znów tracimy czas i choć dalsza droga przebiega bez dalszych przeszkód, pod bramą parku pojawia się godzinę po zmroku. Na szczęście kolejna stawa rozwiązuje problem, i możemy wjechać.

– Poza granicami parku taka wolność nie jest możliwa – mówi ze smutkiem James, Afrykaner, którego ogromny karawan sąsiaduje z kamperem. – Nasze domy dzień i noc są strzeżone przez wynajętych ochroniarzy. Napady zdarzają się głównie z powodów rabunkowych, ale bywa, że i na tle rasowym. Czarnoskórzy traktują nas jak najeźdźców, chcą naszej ziemi i własności. A przecież likwidacja apartheidu miała stworzyć zgodne społeczeństwo tęczy. Kolor



PARK WOLNOŚCI

Camping Manuane Resort leży na obrzeżach parku. Mimo że RPA odwiedzamy w czasie tamtejszej zimy, wolnych miejsc prawie nie ma.

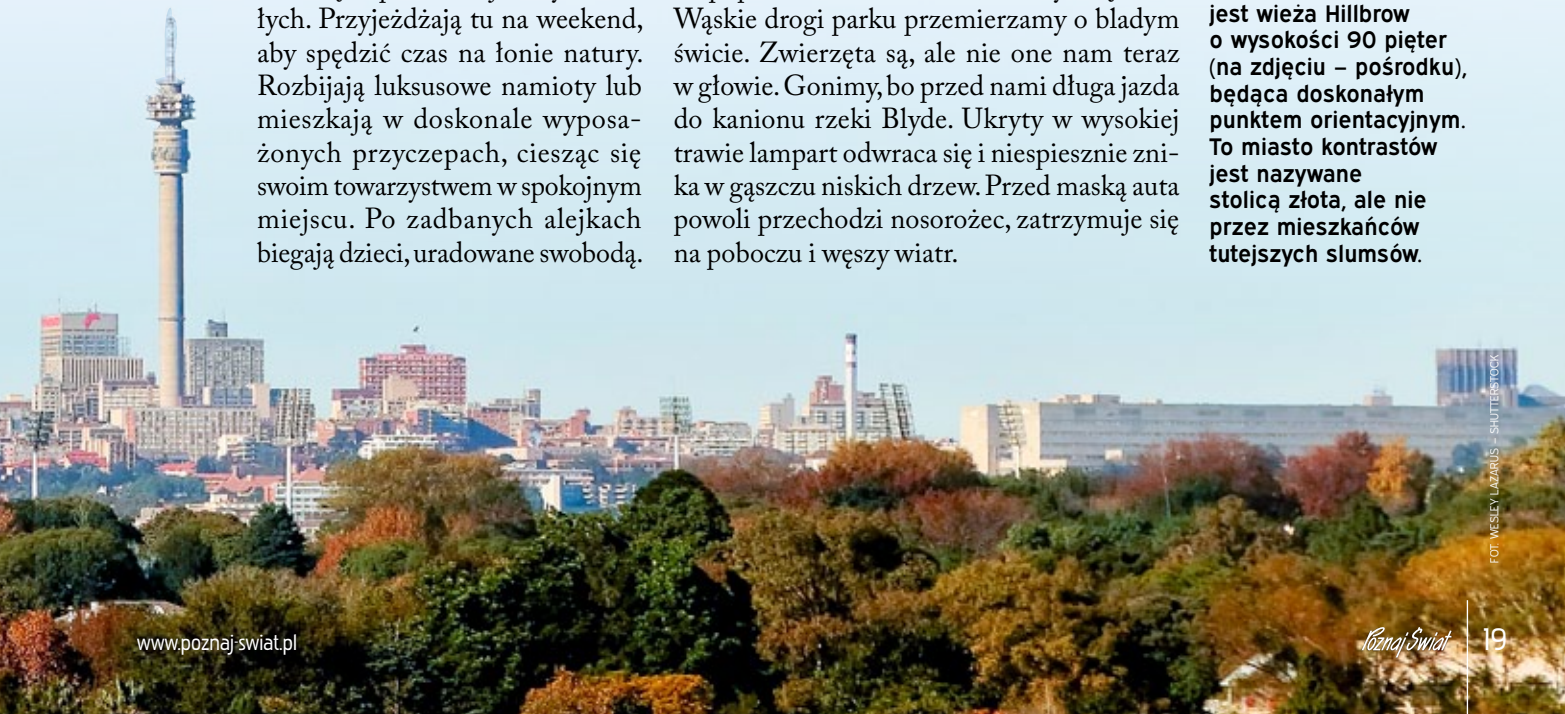
Wewnątrz pełno miejscowych białych. Przyjeżdżają tu na weekend, aby spędzić czas na łonie natury. Rozbijają luksusowe namioty lub mieszkają w doskonale wyposażonych przyczepach, ciesząc się swoim towarzystwem w spokojnym miejscu. Po zadbanym alejkach biegają dzieci, uradowane swobodą.

skóry miał być nieistotny. Jednak równość to nadal złudzenie. Dla nas pobyt w rezerwacie stanowi namiastkę normalności.

Z powodu późnego przyjazdu planowane popołudniowe safari musi odbyć się rano. Wąskie drogi parku przemierzamy o bladym świetle. Zwierzęta są, ale nie one nam teraz w głowie. Gonimy, bo przed nami długa jazda do kanionu rzeki Blyde. Ukryty w wysokiej trawie lampart odwraca się i niespiesznie znika w gąszczu niskich drzew. Przed maską auta powoli przechodzi nosorożec, zatrzymuje się na poboczu i węszy wiatr.

NIE WSZYSTKO ZŁOTO...

Charakterystycznym elementem panoramy Johannesburga jest wieża Hillbrow o wysokości 90 pięter (na zdjęciu – pośrodku), będąca doskonałym punktem orientacyjnym. To miasto kontrastów jest nazywane stolicą złota, ale nie przez mieszkańców tutejszych slumsów.



Wjeżdżamy na ruchliwą szosę, zostawiając za sobą rezerwat. Po kilkudziesięciu kilometrach na desce rozdzielczej zapala się żółta kontrolka. Sprawdzamy w książeczce obsługi samochodu. Opis wskazuje na możliwość poważnego uszkodzenia silnika. Dzwonimy kilka razy do wypożyczalni, zanim telefon podnosi znużony mężczyzna.

– *Musicie znaleźć warsztat* – rzuca niecierpliwie i rozłącza się pośpiesznie.

Jest sobota, pierwszy autoserwis okazuje się zamknięty, ale uczynny stróż pokazuje drogę do innego. Tutaj ekipa jest wprawdzie chętna do pomocy, ale nie potrafi zdiagnozować usterki. Możemy

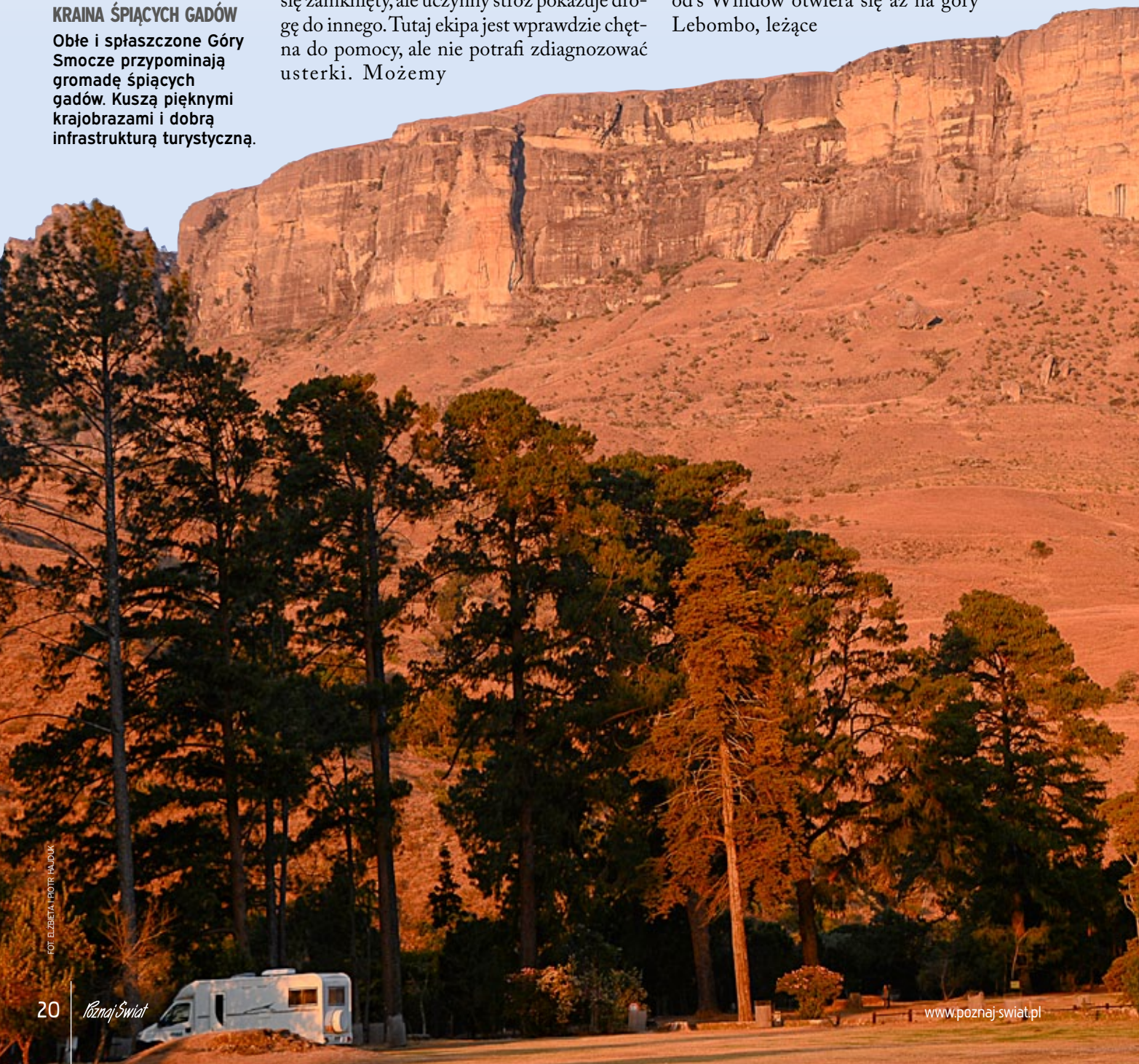
jednak jechać dalej, zwłaszcza że lampka szczęśliwie gaśnie. – *Problem może się powtórzyć* – ostrzega szef mechaników.

AFRYKANER CI POMOŻE

Rest Camp, położony na skraju sławnego kanionu rzeki Blyde, to doskonała baza wypadowa. Wzdłuż kanionu wiedzie asfaltowa szosa, przy której aż gęsto od łatwo dostępnych punktów widokowych. Sławne God's Window otwiera się aż na góry Lebombo, leżące

KRAINA ŚPIĄCYCH GADÓW

Obłe i spłaszczone Góry Smocze przypominają gromadę śpiących gadów. Kuszą pięknymi krajobrazami i dobrą infrastrukturą turystyczną.



przy granicy z Mozambikiem. Wzrok biegnie w dal, po horyzont. Wijące się ścieżki wiodą przez piękny deszczowy las, w zaginiony świat rodem z powieści Artura Conana Doyle'a. Drogę zagrażają poskręcane pnie starych drzew i dziwne rośliny. Tylko patrzeć, jak zza krzaka wychyli się łeb dinozaura. Ze skalnych ścian spadają spienione wodospady, by po chwili, uspokojone, przedzierać się szemrzącą strugą przez skalne progi i kamienne cieśniny.

Pilgrims Rest jest niedużym miasteczkiem, które powstało w czasach gorączki złota. Jednak dzisiaj żyły

złotego kruszcu zostały już rozdrapane, a po pustych ulicach hula wiatr. Miejscowi nie gardzą żadnym zarobkiem. Dwóch obwieści czatuje na nas przy wyludnionym parkingu. – *Będziemy pilnować auta* – zapewniają gorliwie.

Ruszamy na krótki obchód, a po powrocie... co za niespodzianka! Kamper łśni czystością. Dwóch aniołów stróżów wyciąga rękę po słuszną zapłatę. Cena prawie jak za nowe auto. Czemu aż tyle? – *To wielki samochód i było dużo mycia* – wyjaśniają z rozbijającym uśmiechem.

Na desce rozdzielczej znów zapala się znajoma lampka. Ignorując irytujące światelko, ruszamy w dalszą drogę, ale głośny huk zmusza nas do kolejnego postoju. Złożył się stół w kamperze. Ale bez stołu można przecież żyć.

Park Narodowy Krugera to najsłynniejszy rezerwat w Afryce. Stanowi odrębny świat, rządzący się własnymi prawami. Przy



NIE TAKA MAŁA

Noworodki żyrafy szybko wstają na nogi i prawie od razu osiągają dwa metry. Ta mała u boku matki z ciekawością przyglądała się przejeżdżającym samochodom.

głównych, pokrytych asfaltem drogach ulokowały się ośrodki turystyczne z bogatą infrastrukturą, jak w prawdziwych miastach. To jedyne miejsca w parku, gdzie prym wiodą ludzie. Pozostały obszar jest niezaprzeczalnym królestwem dzikich zwierząt.

Duże stado słońi żeruje przy wąskiej piaszczystej drodze, nie zwracając uwagi na naszego kampera. Wyjątkiem jest ogromna samica z młodym, która niespodziewanie przeciągłym trąbieniem ogłasza swoje niezadowolone. Małe oczka błyszczą nieprzyjaźnie, gdy truchtem rusza w naszą stronę. Mijamy ją

o włos, czując na plecach zimny dreszcz. Tutaj zwierzęta zawsze mają rację. A w parku ich nie brakuje. W zaroślach malutka żyrafa pije mleko matki. Ma nie więcej niż dwa metry wysokości, musiała niedawno przyjść na świat. Kawałek dalej nad bagnistym bajorem walczą dwa bawoły, okładając się rogami.

Syci wrażeń, docieramy wreszcie do Skukuzy, jednego z kempingowych miasteczek. Okazuje się niemiłosiernie zatłoczone. Rozbijamy się obok Afrykanerów, którzy na widok białych uśmiechają się szeroko, robiąc miejsce. Odwzajemniamy uśmiech i zaczynamy przedwieczorną krzątanie. Niedługo zajdzie słońce i zapadnie czarna afrykańska noc. Trzeba koniecznie doładować akumulator. Pośpiesznie podłączamy kabel do specjalnie w tym celu ustawionych gniazdek. Ale co to? Nie działa? Podłączamy się do innego. To samo. Sąsiedzi zrywają się do pomocy. Wyciągają narzędzia. Pomagają z potrzeby serca. Nieistotne, kim jesteś, najważniejsze, że masz białą twarz.

JEDYNY TAKI KAMPER

Do Maphelane Camp, położonego przy ujściu rzeki Mfolozi do oceanu, jest jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Mijamy ludne wioski i nieduże osady, jadąc początkowo niezłą asfaltową drogą. Jednak z upływem kilometrów jej stan gwałtownie się pogarsza. W nawierzchni pojawiają się liczne dziury i musimy jechać slalomem. Dla dużego, mało zwrotnego kampera to spory problem, więc z ulgą witamy szuter. Na poboczu chłopaki sprzedają wiązki drewna na opał, jest okazja zapytać o drogę. – *To jeszcze tylko 15 km* – zapewniają. Dobrze, bo niedługo zapadnie noc.

Trasa tymczasem robi się coraz gorsza, piaszczysta, wyboista i kręta. Po lewej stronie pojawia się zakaz wjazdu, ale innej drogi nie ma. Wjeżdżamy w mroczny las, który zamyka się za nami jak ciemny tunel. Na błotnistej nawierzchni koła tracą przyczepność, raz po raz wjeżdżamy w kałuże. Jest ciemno, duszno i ponuro, drzewa na poboczu stoją w czarnej, nieruchomej wodzie. To musi być rozlewisko rzeki, która płynie prawie równolegle do wybrzeża. Oby tylko nie wpaść w bagno. Wokół pusto, ani jednego samochodu. Czy ktoś w ogóle korzysta z tego kempingu?



FOT. ZBIEGA I FOT. HALDOK



KRÓLOWIE SZOZ

W parku Krugera zwierzęta mają pierwszeństwo. Przechadzka lwów zatrzymała cały ruch na drodze. Patrząc wyzywająco na kierowców, kontynuowały swój spacer między pojazdami.

Droga robi się coraz węższa. Samochód z trudnością mieści się w ciasnych zakrętach, niebezpiecznie przechyla na boki, grożąc wywrotką. A to przecież jedna z dwóch opcji, których nie obejmuje ubezpieczenie. Koła buksują w mokrym piasku, wysoki dach zahacza o gałęzie. Trasa pnie się ostro pod górę, a następnie zakosami zjeżdża. Wreszcie gwałtownie zakręca i naszym oczom ukazuje się nieduży kemping... cały zastawiony samochodami.

Wjeżdżamy wolniutko między rzędy aut – samych terenowych. Nie ma żadnego osobowego, nie mówiąc już o jakimkolwiek kamperze. Wokół kręci się mnóstwo ludzi, mimo to wzdłuż drogi biega antylopa, a w krzakach baraszkują małpy. Większość wypoczywających to przeważnie młodzi biali mężczyźni. Przyjeżdżają tu, aby złapać taaaką rybę i spędzić czas w swoim towarzystwie. Z oddali dobiega głuchy pomruk oceanu. Tuż obok, za wydumą, znajduje się piękna, dzika plaża. Wzburzone fale rozbijają się o brzeg z łoskotem.



ĆWICZENIA ZABÓJCÓW

Młode bawoły próbują sił, okładając się rogami. Ćwiczą tak niemal codziennie. A kiedy dorosną, stają się bardzo niebezpieczne – ten gatunek powoduje najczęściej śmiertelnych wypadków wśród ludzi.

CZY WYSTARCZY RYB?

Maphelane Camp, z dziką plażą przy ujściu rzeki Mfolozi do Oceanu Indyjskiego. Doskonałe miejsce do odpoczynku z dala od cywilizacji, choć w towarzystwie nazbyt licznych wędkarzy.

Szybko zapada zmrok. Jutro czeka nas trudny powrót do cywilizacji. Sen zakłócają chóralne śpiewy i głośne rozmowy naszych sąsiadów, obficie zakrapiane piwem. Zza drzew wygląda ogromna twarz księżycy.

SMOCZA KRAINA KANIBALI

Góry Smocze to rozległe pasmo, ciągnące się wzdłuż granicy z Lesotho, w zamieszkanym przez Zulusów rejonie KwaZulu-Natal. Pierwsze szczyty widać już z daleka.



FOT. ELŻBIETA I PROTR-HALDUK



FOT. ELŻBIETA I PROTR-HALDUK

Obłe i płaskie, rzeczywiście mają w sobie coś smoczego.

Mlungisi jest miejscowym przewodnikiem. Należy do plemienia Zulusów i mieszka niedaleko, w małej wiosce Amazizi, położonej u stóp gór. W jego języku ta dźwięczna nazwa znaczy Kanibal. Nie tak dawno jeszcze, w XIX w., przodkowie Mlungisi zjadali siebie nawzajem. Kiedy nastał król Zulus Czaka, zabronił tych praktyk. Ale nie było łatwo wypłenić stare obyczaje. Kanibale uciekli w góry i zamieszkali w jaskiniach, do dziś znanych jako jaskinie ludożerców. – *Ja nie zjadam ludzi*

– zapewnia Mlungisi, błyskając w uśmiechu białymi zębami. – *Możecie ze mną iść.*

W tych górach jeszcze tysiąc lat temu żyli Buszmeni, zwani też San – jedna z najstarszych ras świata. W wielu miejscach pozostały po nich subtelne, naskalne malowidła. Pierwotnych myśliwych i zbieraczy wyparły murzyńskie plemiona z grupy Bantu: Basoto i Zulusi. Malownicza ścieżka prowadzi do skał, na których lud San pozostawił rysunki. Im wyżej nią idziemy, tym bardziej zachwycające widoki przed nami odkrywa. Twarde skały bazaltowe utworzyły



BLYDE W MPUMALANGA

Jedna z największych atrakcji RPA – przełom rzeki Blyde w prowincji Mpumalanga. Długość kanionu to 26 km, a średnia głębokość – 800 m. Z urwistych ścian spadają wodospady; strumienie wody przedzierają się przez labirynt skalnych progów i kamiennych cieśnin.

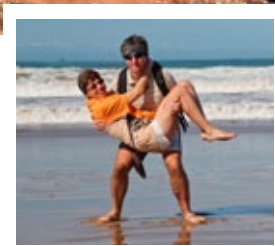
spektakularne wypiętrzenia, wyglądające jak łuski śpiących smoków.

Nieco dalej na północ znajduje się najsłynniejsza formacja skalna: długi na 4 km i wysoki na ponad 1000 m łańcuch górski, kształtem przypominający amfiteatr i tak też nazwany. Aby zobaczyć jego pionowe urwiska, ruszamy w dalszą drogę przez asfaltowo-szutrowe wąskie ścieżki, wijące się malowniczo wśród niewysokich pagórków i falujących traw.

Serce gór jest tu poprzecinane siecią szlaków turystycznych. Zaczynają się w dolinach, zasnutych o poranku wilgotną mgłą,

przekraczają bystre strumienie i pną się w górę przez ocienione stoki, ku skalistym płaskim szczytom. Z jednego z nich, Mont-aux-Sources, spada w dół wodospad Tugela, drugi największy na świecie. Składa się z pięciu kaskad, których łączna wysokość wynosi blisko 950 m. Niestety, o tej porze roku jest prawie wyschnięty.

Wokół pusto i cicho. Tylko wiatr nieświe z oddali czyjeś radosne pokrzykiwania. Na kempingu u stóp gór jesteśmy praktycznie sami. Nad głowami świecą roje gwiazd. Skalne smoki powoli układają się do snu. ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista. On inżynier, umysł ścisły. Zjeździli razem pół globu. On w podróżach szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata. I każde znajduje to, co lubi. Wspólnie z córką Kasią napisali książkę o podróży po Afryce „Dalej są tylko lwy”.

BEZ BARU
NIE BYŁOBY
ITALII



Tomasz Skowronek

Szalenie głośno. Szum ekspresów do kawy, stukanie szklanek i łyżeczek, brzęk filiżanek. Pod sufitem ryczy telewizor. Rozmowy przerywane wybuchami śmiechu. Ludzie głośno dyskutują, wymieniając się ostatnimi wiadomościami. Jeden z kelnerów ma kamienną twarz (wykonuje zawód zaufania społecznego!), inny, młodszy, kiedy prześlizguje się pomiędzy krzeselkami, ma twarz pełną uśmiechu. Do tego lokal jest wielkości paznokcia...



Krzesel w barze niewiele, jakieś pojedyncze stolki, foteli nie ma w ogóle. Na ziemi panoszą się okruchy pieczywa i brudne serwetki. Ale zawsze, gdy przyjeżdżam do Włoch, dzień zaczynam właśnie w takim miejscu. Wystarczy, że parę razy przyjdiesz, i już jesteś swój.

Opieram się o ladę i proszę o kawę. Barista kręci się w wąskiej przestrzeni między barem a automatem do kawy i podaje mi szklankę wody oraz rogalika. Kilka sekund później

stawia przede mną małą filiżankę espresso na spodku. Siadam i obserwuję cały ten gwar. Nasiąkam atmosferą.

OSTOJA DEMOKRACJI

Są tu urzędnicy, którzy na chwilę urwali się z pracy, aby wypić kawę i coś zjeść, są emeryci, studenci i robotnicy. Bar jest szorstki, może się wydawać, że nieco zaniedbany – coś jak nasze bary mleczne, ale atmosfera przyjazna.





Od profesora do murarza, od prawnika po wydziedziczonego, wszyscy jesteśmy tacy sami w barze i tyle samo czasu oczekujemy na podanie kawy i croissanta, nie różniąc się w zależności od naszej pozycji w społeczeństwie” – napisał Marco Malvaldi, autor włoskich kryminałów. Wszyscy są tutaj u siebie.

Bez baru nie byłoby Italii. Znajduje się prawie na każdej ulicy miasta. To właśnie w małych kawiarniach zaczyna się włoski



KAWOWE OBSERWATORIUM

Piękne włoskie miasta można też podziwiać zza kawiarnianych stolików. To na ogół świetne punkty do obserwowania ludzi oraz architektury.

Wpada tu grubszy, około 70-letni mężczyzna w czarno-białej panamce, który na stojąco szybko wypija espresso i zamienia parę zdań z kelnerem. Są turyści, którzy zajądają *panini* z szynką parmeńską i rukolą, oraz karabiniery, którzy biorą na wynos słodkie croissanty z nadzieniem pistacjowym. Jest też elegancka kobieta popijająca cappuccino i przeglądająca dzisiejszą, pomiętą już „la Repubblica”.

Ludzie co chwilę przychodzą i wychodzą. Migają twarze wszelkiej rasy, wieku, pochodzenia. Przybywają biedni i zamożni, miejscowi i przyjezdni. Drobnii sklepikarze i biznesmeni. Ubrani elegancko i na sportowo, kolorowo i szaro.

„Bar często jest jedynym w pełni demokratycznym miejscem w naszym kraju.

dzień. Bary kawowe zawsze były częścią miejskiej i społecznej tkanki; reprezentują włoski styl życia i kulturową tożsamość tego społeczeństwa. Potwierdza to ich wszechobecność: w całym kraju jest ponad 140 tys. kawiarni, z grubsza jedna na 400 mieszkańców. We Włoszech można napotkać nawet „bary polityczne” (np. komunistyczne z wizerunkami Ernesto Che Guevary czy Antonio Gramsciego), sportowe (z portretami Diego Maradony,

flagami i koszulkami SC Napoli) albo lokale z akcentami religijnymi.

Przez lata były i są jednym z ulubionych miejsc artystów, dziennikarzy, no i turystów. Stanowią nie tylko bramę do miasta, ale też świetny punkt obserwacyjny, z którego przez długie godziny można podpatrywać życie lokalsów, a nawet ich poznać i porozmawiać. Czy dla pisarzy albo podróżników może być coś cenniejszego?

RELAKS W ADAGIO

Mały urokliwy bar z kilkoma stolikami parę kroków od weneckiej bazyliki Santa Maria Gloriosa dei Farris. Takie miejsca są idealne na relaks i zawarcie nowych znajomości.



RADOŚĆ ZA 8 EURO

Włoskie *happy hour*, zwykle od 19:00 do 21:00, za mniej więcej 8 euro proponuje napoje wraz z obfitym bufetem. Cały sens tego czasu tkwi jednak w towarzystwie. Kiedy zbliża się ta godzina, ludzie wychodzą na spotkania z przyjaciółmi.

COŚ NA POZĄTEK

Antipasto all'italiana – szynka prosciutto, pomidorki, kiełbaska oraz parmezan, czyli małe dolce vita w żołądku. Takie przystawki, które spożywa się zazwyczaj z alkoholem, oznaczają oficjalny początek głównego wieczornego posiłku.



FOT. SHUTTERSTOCK

SZYBKA KAWA NA STOJĄCO

Co istotne, atmosferę kawowych barów można poczuć w całej Italii, niezależnie, czy będziemy na północy, czy na południu kraju. Bo choć mówimy o jednym narodzie, to oba regiony są odmiennymi bytami, a wewnątrz włoskie różnice rzucają się w oczy każdemu, kto tu przyjeżdża. W Mediolanie, Bergamo, Turynie czy Bolonii – ogólnie w północnych Włoszech – życie, komunikacja, ruch uliczny są znacznie bardziej uporządkowane niż na południu. Podczas gdy północ w wielu miejscach przypomina inne bogate zachodnie miejscowości, to południowe Włochy są podobne do Grecji lub Hiszpanii – na przykład kierowcy samochodów i skuterów jeżdżą i parkują jak chcą, nie zwracając uwagi na znaki drogowe. Bogata północ niejednokrotnie okazywała swój regionalny egoizm i polityczny nacjonalizm. Jedne



FOT. GIOVANNI BOSCHERNO - SHUTTERSTOCK

Za ojców espresso uchodzą mediolański wynalazca Luigi Bezzera i jego partner biznesowy Desiderio Pavoni. W 1901 r. Bezzera stworzył pierwszy ekspres do espresso. Patent ten nie był jednak pozbawiony wad, zmieniał bowiem nieco smak naparu. Dwa lata później sprzedał swoją procedurę Pavoniemu, który ulepszył maszynę i nadał jej światowy rozgłos. Nadal jednak, mimo drobnych zmian technicznych, problemem pozostawała kwestia pary, która zmieniała smak kawy. Rozwiązał to w 1947 r. Giovanni Achille Gaggia, który parę zastąpił innym systemem podgrzewania. Firmy Pavoniego i Gaggii istnieją do dzisiaj i należą do liderów w dziedzinie produkcji ekspresów ciśnieniowych.

Przetłumaczone wprost *espresso* oznacza „wytłoczony”, co wiąże się ze sposobem działania tego urządzenia. Może to również oznaczać „szybkie” lub „ekspresowe”, co odzwierciedla kluczową cechę sprzedaży – espresso robi się w około 45 sekund. Było to idealne rozwiązanie dla nowego rodzaju włoskich barów kawowych, gdzie rosnąca burżuazja zatrzymywała się na szybki napój – często spożywany na stojąco, tak jak i dzisiaj.

CZAS NA APERITIF

Bardzo wiele włoskich barów zostało założonych w dawnych sklepach z mlekiem. Przed II wojną światową i podczas niej kawa była bardzo cennym towarem. Po wojnie sklepy mleczne powoli zmieniały się w kawiarnie, które stały się wkrótce dostępne dla wszystkich.

Włochy mają jedną z najbardziej rozwiniętych kultur kawy na świecie, jej picie zaś i małe kawiarenki uchodzą za element tożsamości narodowej. Dla Howarda Schultza, właściciela Starbucksa, to właśnie włoskie kawiarnie były inspiracją do założenia sieci lokali, które miały się stać miejscami spotkań lokalnych społeczności. Pierwsze sklepy firmy Schultz były nazywane z włoska *Il Giornale* („dziennik”). Co ciekawe jednak, Półwysep Apeniński długo był jednym z nielicznych krajów na świecie, gdzie Starbucks pozostawał nieobecny. Wynikało to głównie z dwóch powodów. Po pierwsze, włoska gastronomia w czasach globalizacji dość mocno opierała się amerykańskości i nadal np. niewiele jest

z najbogatszych regionów, czyli Lombardia i Veneto, groziły nawet, że chcą się odłączyć od Włoch, albo przynajmniej zachować większą autonomię, aby nie dzielić się bogactwem z biedniejszym południem.

Te wszystkie podziały i różnice pomiędzy regionami mają związek z jednością narodową, która jest tu stosunkowo młodym osiągnięciem (Włochy jako naród narodziły się w marcu 1861 r.). Praktycznie wszystkich Włochów łączy przede wszystkim dwie rzeczy i wśród nich nie ma wcale pizzy, która na północy nie jest zbyt popularna i też niespecjalnie dobra (chyba że akurat trafimy na neapolitańczyka, który tam przyjechał i otworzył pizzerię). Chodzi oczywiście o Azzurricchi, czyli reprezentację Włochów w piłce nożnej (czterokrotni mistrzowie świata!), oraz właśnie o zamiłowanie do spędzania czasu w barach.

LOKALIK NA ZATYBRZU

To najstarsza część Rzymu, już w starożytności zamieszkiwana głównie przez biedotę. Obecnie Zatybrze staje się dzielnicą alternatywną, przyciągającą artystów i turystów.

tu lokali serwujących fast food. Po drugie, obawiano się, że największa na świecie sieć kawiarni poniesie porażkę.

Jej pierwszy lokal powstał dopiero we wrześniu 2018 r., w kosmopolitycznym Mediolanie, trudno jednak stwierdzić, czy się przyjmie. Sami Włosi twierdzą, że smak kawy w amerykańskiej sieciowce jest inny, do tego tamtejsze napoje są droższe, a każdy Włoch ma swoje ulubione miejsca, gdzie na szybko

za 1 euro może wypić małą czarną. Należy także wspomnieć o tym, że globalna sieć nie oferuje alkoholu... Tymczasem niemal wszystkie bary kawowe we Włoszech mają go w menu. Zazwyczaj są to różnego rodzaju wina, gin, whisky, rum, martini, campari, aperol... Włosi spotykają się na tzw. *aperitivo*, co jest już tradycją. Zwykle między 19.00 a 21.00 wspólnie odpoczywają nad kieliszkiem wina lub lekkimi koktajlami.



Aperitivo to napój przed posiłkiem, przeznaczony do zaostrenia apetytu. Uważa się, że koncepcja współczesnego aperitifu została wynaleziona (lub skutecznie sprzedana) przez destylatora Antonio Benedetto Carpano, który w 1786 r. w Turynie stworzył wermut. Twierdził, że jego specjalna kombinacja ufortyfikowanego (wzmocnionego spirytusem) białego wina i różnych ziół oraz przypraw stymuluje apetyt i jest bardziej odpowiednia



dla kobiet niż czerwone wino. W ten sposób wermut stał się jednym z pierwszych popularnych napojów na *aperitivo*. Choć powstało na północy Włoch, a Mediolan uchodzi za najlepsze miejsce na drinkowanie, to tradycja ta rozprzestrzeniła się również na południe.

Napojom alkoholowym zwykle towarzyszą różne przekąski, nazywane tutaj *antipastis*, przypominające trochę hiszpańskie *tapas* bądź greckie *mezes*. Lista włoskich *antipastis* nie ma końca, próba ich spisania jest więc próżnym wysiłkiem. Za przekąskę może posłużyć parę oliwek, kawałki pizzy, solone chipsy lub dobrze wysmażone krewetki. Do tego możemy dorzucić skromne kanapeczki z różnymi pastami, dipami, suszonymi pomidorami lub szynką prosciutto, a także owoce morza, anchois, bruschetty, pepperocini, różne rodzaje mięs, serów oraz warzywa polane świeżą oliwą. Wszystko zależy od tego, w jakim barze się znajdziemy i w jakim regionie Włoch. Przede wszystkim jednak ma być prosto, smacznie i różnorodnie.

Wybitny holenderski pisarz i zarazem podróżnik Cees Nooteboom powiedział kiedyś w jednym z wywiadów, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć o krajach, należy odwiedzić trzy miejsca: cmentarz, rynek oraz dworzec. Do tej listy, mając na uwadze Włochy, należy zapewne dopisać bar kawowy. ○

ŻELAZNY ZESTAW

Rogalik i cappuccino to popularny zestaw śniadaniowy, po który sięgają i turyści, i mieszkańcy. W tle różnorodnego wina oraz limoncello, likier zrobiony z cytryn pochodzących z Kampanii.



Tomasz Skowronek

Dziennikarz i publicysta, absolwent stosunków międzynarodowych. Podróżuje najchętniej po Europie Południowej oraz regionie śródziemnomorskim, jednakże ciekawy jest całego świata.

OFIARA Z CIAŁA

Izabela Fifielska





W pełnię księżyca, która przypada zgodnie z kalendarzem tamilskim w miesiącu *thai*, do Jaskiń Batu przybywają miliony hindusów, aby odpokutować winy lub prosić o łaskę boga wojny – Murugana. Wielki korowód męczenników z przekłutymi językami, policzkami, z igłami i hakami powbijanymi w płyty skóry tańczy boso po rozgrzanym asfalcie. Głowy dzieci, kobiet i starców, ogolone brzytwą w akcie pokuty, są gotowe przyjąć błogostawieństwo od bóstwa.



Jest parny i gorący styczniowy wieczór. Na jednej z wąskich uliczek, mieszczącej się w chińskiej dzielnicy Kuala Lumpur, z minuty na minutę tłum staje się coraz gęstszy. Ludzie dosłownie wysypują się z każdej bramy, sklepu, samochodu. Wynurzają się z każdego zaułka. Festiwal przyciąga tu liczne hinduskie rodziny, młodych i starców, pokutników i lekkoduchów, żebraków i bogaczy, utracjuszy i ascetów, chuderlawych joginów i brzuchatych jegomości oraz zwykłych ciekawskich – takich jak ja.

Floryści przed świątynią Sri Mahamariamman uwijają się w pocie czoła, plotąc długie, wielobarwne girlandy ze świeżych kwiatów. Kobiety w jakimś zakamarku przygotowują karagamy – dzbany ofiarne wypełnione krowim mlekiem, które dla hindusów jest symbolem czystego serca oraz dobrych intencji. Jego słodka, lekko sfermentowana woń nie pozwala przejść obok obojętnie. Wszechogarniający harmider, potworny tłok i piekielna duchota towarzyszą wszystkim hinduskim świętom i Thaipusam pod tym względem niczym się od nich nie różni.

PROCESJA ZA BOSKIM RYDWANEM

Z wnętrza świątyni dochodzi niebywale szybkie i rytmiczne bicie w bębny, przemieszane z piskliwym dźwiękiem indyjskiego klarnetu i śpiewami modlitewnymi. Potężna fala ludzi pcha się do środka, tratując przy okazji tych, którzy w tym samym czasie próbują się z niego wydostać. Niektórzy bowiem całym ciężarem spoconych ciał napierają w stronę wyjścia, aby zrobić sobie selfie z niezwykłym pojazdem.

Tuż przed świątynią stoi wysoki na 6,5 m i ważący 5 ton srebrny rydwan. Przystrojony w setki świecących żarówek, dzwonek, kwiatów i pawich piór, wygląda tak magicznie, jakby został przeniesiony tutaj wprost z indyjskiej baśni. Niebawem posłuży on za powóz, którym posąg Murugana przejedzie przez ulice Kuala Lumpur, aż do oddalonych o 15 km stąd Jaskiń Batu.

W tej wielogodzinnej, nocnej procesji za boskim rydwanem do świątyni końcowej pójdzie co najmniej kilkanaście tysięcy osób. Dla dużej części zebranych tutaj wiernych ta noc i następujący po niej dzień obchodów święta Thaipusam to czas, by poprosić boga o przebaczenie grzechów i kolejne łaski dla siebie i bliskich. To czas, kiedy po okresie długiego (czasem 18-, a nierzadko też 48- i 60-dniowego), ścisłego postu, wyrzeczeń, modlitw, medytacji i mistycznej podróży w głąb siebie przychodzi moment ostatecznej próby charakteru i manifestu silnej wiary. Poświęcenie, ofiara, pokuta, dziękczynienie, miłość, jak również umartwienie ciała w narkotycznym transie – z tym wiąże

JASKINIA KRWAWEGO BOGA

Uwieńczeniem procesji pątników jest świątynia Sri Subramaniam Swamy, mieszcząca się wysoko we wnętrzu wapiennej skały. Aby dostąpić łask od boga wojny, trzeba pokonać 272 schody, okiełznać tłum ludzi oraz armię złośliwych makaków plądrujących kieszenie.



FOT. ZABEŁA FRELIŚKA



się jeden z najbarwniejszych hinduskich festiwali, który do Malezji przywędrował w XIX w. wraz z mniejszością tamilską z południowych Indii. Na Thaipusam rokrocznie przybywa tutaj od półtora do kilku milionów hindusów z różnych krajów, toteż obchody tego święta uważa się za największe na świecie.

bardzo poważne obrażenia i spędził jedenaście miesięcy w śpiączce. Skierowałam wtedy prośbę do boga Murugana i przyrzekłam, że jeśli Raja do nas wróci, to co roku będę pościć oraz składać ofiarę. Modliłam się gorliwie o jego wyzdrowienie i nigdy nie straciłam wiary, choć było mi bardzo ciężko. Cztery miesiące po Thaipusam wydarzył

NIE POLEJE SIĘ KREW

Policzki przekłute jednometrowym trójzębem i uprząż przymocowana do pleców za pomocą haków. Męczennik w ekstazie szarpie się i wyrywa, a jego skóra dramatycznie się naciąga. Brak krwi świadczy, że należyście przygotował ciało i ducha do ceremonii.



– *To już siódmy rok, kiedy wraz z rodziną idziemy w tej procesji – mówi Shanti, którą spotykam przed świątynią. Młoda, drobna kobieta o delikatnym uśmiechu patrzy na mnie spod ogromnego i ciężkiego dzbana, ustawionego na czubku jej głowy. – Wszystko zaczęło się od wypadku motorowego starszego brata. Miał*

się cud! Raja się wybudził. Teraz mieszka w Australii z żoną i czuje się doskonale.

Podobnych historii usłyszałam tutaj, pod Sri Mahamariamman, wiele, ale czy naprawdę nosiły znamiona boskich cudów? Jedno jest pewne – dla każdego przybyłego tu wiernego ta pielgrzymka ma inny wymiar duchowy.

Różne są intencje. Różne bywają ofiary, które są tego dnia składane bogu. Te najbardziej szokujące – balansujące na granicy mistycyzmu i szaleństwa – rozpoczną się wraz ze wschodem słońca w Jaskiniach Batu. Tam do procesji wiernych z dzbankami dołączą męczennicy z *kavadi*. To symboliczny ciężar,

ofiarne może też kształtem przypominać drewniany pałąk niesiony na jednym ramieniu lub długi pał oparty na karku i przedramionach z ciężarami w postaci czarek po obu stronach. Niekiedy osoby umartwiające się ciągną na długich sznurach przyczepionych do skóry olbrzymie ołtarze.



FOT. IZABELA PFELESKA



FOT. IZABELA PFELESKA



FOT. IZABELA PFELESKA

OFIARA SŁODKO-KWAŚNA
W świecie hinduskich bogów każdy przedmiot, znak, kolor ma ukryte znaczenie symboliczne. Przyczepione do ciała limonki, czarki z mlekiem i kwiaty wyrażają czystość intencji, serca i umysłu.

przybierający postać np. czterdziestokilogramowej, kilkupoziomowej, zrobionej z metalu konstrukcji. Składa się ona ze stelaża wczepionego w skórę ramion bądź pleców za pomocą długich szpikulców i haków, ołtarza dla bóstwa oraz licznych dekoracji: kolorowych tkanin, dzwonek, kwiatów i pawich piór. Brzemie

KĄŻDE WZGÓRZE NALEŻY DO MURUGANA

Monumentalny, ponad 42-metrowy, w całości pokryty złotą farbą posąg Murugana strzeże wejścia do jaskini. To ostatni i najtrudniejszy etap pielgrzymki. Tuż za nim pną się 272 strzeliste, betonowe stopnie, które trzeba pokonać, zanim dostąpi się świątynnych progów. Wizerunek bóstwa przedstawia pogodną twarz młodzieńca, obdarzoną dobrotliwym spojrzeniem. Nie przywołuje na myśl skojarzeń z walecznym i nieustrasczonym wojownikiem, mściwym bóstwem wojny.

Według hinduskiej mitologii Murugan został stworzony przez Shiwę po to, by zgładzić armię demonów i przywrócić boski ład. Od swojej matki Parvati miał on otrzymać włócznię – *vel*, dzięki której wygrał bitwę z demonem Śūrapadmā. Kiedy rozczłonkował jego ciało na pół, pierwsza część zamieniła się w koguta, a druga w pawia, który stał się odtąd jego wierzchowcem.

Thaipusam jest świętem upamiętniającym zwycięstwo dobrych mocy nad złem i chaosem, natomiast symbolika przedstawiona w micie jest wykorzystywana w rytuałach i obrzędowości. Pawie pióra zdobią składane tego dnia ofiary, a narzędzi w kształcie włóczni używa się do przekłuwania różnych części ciała. Kult Murugana bywa

WŁÓCZNI PANA

Broń, którą Murugan pokonał demona, służy hindusom jako symboliczny pierścień do przekłuwania skóry ciała, twarzy i języka.



FOT. IZABELA FIELESKA

utożsamiany z szamanizmem, który wiąże się m.in. z wiarą w duchy, z wprowadzaniem się w stan transu. To najprawdopodobniej za jego sprawą spada wrażliwość na odczuwanie bodźców bólowych. Wśród Tamilów funkcjonuje powiedzenie: „każde wzgórze należy do Murugana”. Ta metafora traktuje o trudzie, jaki trzeba sobie zadać jako śmiertelnik, aby choć trochę zbliżyć się do boga. Najlepszym dniem, aby zmierzyć się z tym wyzwaniem, jest właśnie Thaipusam.



MĘCZENNICZY W EKSTAZIE

O białym świcie nad rzeką Sungai Batu, oddaloną o ok. 3 km od świątyni, zaczynają zbierać się pierwsze grupki wiernych. Mężczyźni są otoczeni przez członków rodziny, przyjaciół oraz grupy bębniarzy, którzy będą im towarzyszyć podczas procesji z *kavadi*. Przyszli tutaj, by dać świadectwo gorliwej wiary. W geście najwyższego oddania, zaufania i miłości do boga są gotowi zrobić ze swego ciała

chodzącą świątynię. Staje się ono przez to żywą ofiarą.

Po rytualnej ablucji ciała męczenników smaruje się w kilku miejscach kurkumą, która wedle wierzeń oczyszcza ze złej energii. Hipnotyczne rytmy pulsujących bębnow i okrzyki „*vel-vel!*” dudnią mi w uszach. Mistrzowie ceremonii błogosławią mężczyznę i okadzają jego ciało dymem ze świecy. Stoi tak boso, z nagim torsem, w samym tylko pomarańczowym sarongu i kolorowej przepasce

BÓSTWO NA 14 PIĘTER

Najwyższy na świecie posąg Murugana w Jaskiniach Batu został odsłonięty w 2006 r. Jego budowa zajęła trzy lata i zużyto na nią 350 ton stali, 1550 m³ cementu oraz 300 l złotej farby. Kosztowała 2,5 mln ringgitów malezyjskich (2,3 mln zł).



HIPNOTYCZNA ORKIESTRA

Pokutnikom towarzyszą bębniarze, którzy wygrywają hipnotyczne, bardzo szybkie rytmy, pomagające zapaść i utrzymać stan religijnego transu.

na głowie. Oczy ma zamknięte, wyraz twarzy skupiony, pogrążony w modlitwie. Czyjaś ręka wsadza mu dymiącego, brązowego skręta do ust, a wtedy odgłos otaczających bębnów staje się jeszcze szybszy. Jedno głębokie zaciągnięcie, drugie, trzecie i kolejne... Mężczyzna leci do przodu i zatrzymuje się na kolanach. Na twarzy pojawia się najpierw błogość, potem szereg niezrozumiałych emocji. Wreszcie ciało zaczyna jakby mimowolnie wic się w konwulsjach na piachu, przypominając rybę, którą morze wyrzuciło na brzeg. Mężczyzna zaczyna pokrzykiwać w stronę tłumu, tupać nogami, chaotycznie kręcić się wokół własnej osi. Jest w transie i według miejscowych – dostał namaszczenia, stał się ucieleśnieniem bóstwa.

Do pracy przystępują „nakłuwacze” – specjalna ekipa, która będzie piercingować ciało.

Najbardziej charakterystycznym piercingiem dla Thaipusam jest włócznia – broń Murugana. Najcieńszy szpikulec przechodzi przez sam środek czoła ofiarodawcy w miejscu, które hindusi nazywają punktem koncentracji. Kolejny, nieco dłuższy, przesywa na wylot język na znak zaprzestania używania niegodzwej mowy. Trzeci, o grubości długopisu, przebija oba policzki i świadczy o powstrzymaniu się od spożywania pokarmów.

Przyglądam się z bliska całemu zdarzeniu i nie jestem w stanie pojąć, jak to możliwe! Ten mężczyzna zachowuje zupełny spokój, jakby nie odczuwał najmniejszego bólu. Z żadnej głębokiej rany nie wyciekła ani jedna kropla krwi. A to dopiero początek! W kolejce czeka kilkadziesiąt haczyków zakończonych limonkami, które zostaną przytwierdzone do plevców



FOT. IZABELA FIFEJSKA

i ramion. Ostrze po ostrzu wbija się, przechodzi przez skórę i nadal nic się nie dzieje. Ani jednego grymasu na twarzy, jęku z bólu. Ani jednego niekontrolowanego odruchu, ani śladu krwawienia. Mistyk jakiś – myślę, kiedy trójka pomocników przynosi ogromne, trzydziestokilogramowe *kavadi* i kapie wyściełane gwoździami. Poprzeczka podnosi się z minuty na minutę – komentuję w duchu, nie mogąc wyjść z podziwu.

Zamontowanie konstrukcji zajmuje najwięcej czasu. Osadza się ją na czterech solidnych hakach, które utrzymują cały ciężar. Dwa przednie przechodzą na wylot przez skórę na bokach brzucha, odpowiednio dwa tylne są mocowane na plecach. To musi być ponadludzki wysiłek, aby zataszczyć *kavadi* stąd aż na szczyt świątynnych schodów.

– *Wielu z nich w Thaipusam jest już bardzo osłabio-*

nych wielodniowym postem – tłumaczy mi żona męczennika. – Jesteś sobie w stanie wyobrazić te rany, poparzone stopy, te powyrywane mięśnie, ten ciężar bez boskiej pomocy?! Oni zostali wybrani przez Murugana. Dzisiaj złożą jedną z najważniejszych ofiar w życiu w imię boskiej miłości. Jutro przez tę miłość zostaną uzdrowieni, bo po ranach nie zostanie ani jeden ślad, ani jedna blizna!

– *Czy umartwianie ciała przybliży bardziej do boga?* – pytam.

– *Z pewnością to rodzaj religijnej ekstazy. Błogostanu, jaki się odczuwa w momencie dotarcia na 272. stopień schodów, nie można porównać do niczego innego. Ludzie są w stanie wiele poświęcić tylko dla tego jednego momentu.*

Przed Jaskiniami Batu aż roi się od niepowtarzalnych brzemion. Każde *kavadi* jest

inne, osobiste – zupełnie jak osobista i intymna jest ofiara. Korowód męczenników najezonych ostrzami, na haju podsycanym przez muzykę, wiruje na asfaltowej drodze. Tańczą swój *kavadi attam* (rodzaj tańca z *kavadi*). W tym czasie mija ich fala ludzi z dzbankami na głowach, owiniętych w intensywnie żółte szaty. Nierzadki widok stanowią też osoby, które na znak pokuty postanowiły ogolić głowy. Są wśród nich kobiety i mężczyźni, nastolatki oraz bardzo małe dzieci. Są też zwykle rodziny, które przybyły do Jaskiń Batu, aby świętować. Niezależnie, kim są, mają dziś jeden wspólny cel – dostać się na górę i otrzymać błogosławieństwo.

Tłok jest przeogromny. Upał już dotkliwie doskwiera. Wejście po schodach wraz z dotarciem do świątyni zajmuje nawet dwie godziny. Odwodnione i osłabione organizmy nie wytrzymują czasem tego wysiłku. W tym miejscu powietrze to towar tak deficytowy, jakby każdy otrzymywał go tylko w ilości niezbędnej do przeżycia. Zdarza się, że gdy pątnicy przestępują próg świątyni, ktoś mdleje, ktoś w drgawkach zrzuca z ramion brzemie. Z innych są ściągane haki i szpice, a *kavadi* i dzbany odstawiane na bok. Stan transu z wolna przemija i do mózgu zaczynają płynąć impulsy bólu z wystawionego na ogromną próbę, wycieńzonego ciała. Ale to wszystko zdaje się nieważne. Znaczenie ma jedynie fakt, że pielgrzym dotarł do celu swej wędrówki. ○



Izabela Fifejska

Marketingowiec, dziennikarka i podróżniczka. Z pasją i ciekawością przemierza świat, a do ukochanej Azji wraca jak bumerang. Cztery lata temu udało jej się znaleźć swój nowy dom w Malezji.



FOT. IZABELA FIFEJSKA

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

FESTIWAL POLSKO-CZESKI



Festiwal odbędzie się w dniach 15–16 marca w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Jana Śniegonia w Wiśle. Imprezę rozpoczną pokazy zdjęć z wędrówek po Europie, ale też z przestrzeni kosmicznych. W piątek będzie można zajrzeć w głąb ziemi za sprawą eksploratorów beskidzkich jaskiń ze Stowarzyszenia Ochrony Jaskiń Grupa Malinka, a zaraz potem wzlecieć do nieba z wielokrotnym mistrzem świata w konkurencjach szybowcowych Sebastianem Kawą. Ten dzień zakończy koncert zespołu Błaf z Jabłonkowa. W sobotę, po podróży wodnymi szlakami w Azji i Ameryce Północnej z Petrem Donathem i Miroslavem Dudą, będzie można spojrzeć w tryskające ogniem gardła najbardziej niebezpiecznych wulkanów świata. Słuchaczy zabierze w tę niesamowitą wędrówkę Grzegorz Gawlik, realizujący projekt „100 wulkanów”. Niewątpliwie najbardziej oczekiwanym gościem festiwalu będzie pogromca lodowych szczytów, wybitny polski himalaista Ryszard Pawłowski. Człowiek gór opowie o swoich przygodach na różnych kontynentach, ale z pewnością nie zabraknie zapierających dech zdjęć ostrych turni Patagonii i najwyższych szczytów Himalajów. Na zakończenie drugiego dnia festiwalu wystąpi znakomity słowacki zespół Funny Fellows. www.ozvenyostrava.cz/visegrad

ODKRYJ ŚWIAT Z POZNAJ ŚWIATEM

Uczniowie szkół średnich wezmą udział w kolejnej edycji konkursu geograficznego „Odkryj świat z Poznaj Światem”. Konkurs od wielu lat cieszy się sporym zainteresowaniem wśród młodzieży. Co roku zmienia się jego temat przewodni. Tym razem uczniowie mają za zadanie zapoznać się z artykułami z miesięcznika Poznaj Świat dotyczącymi najstarszych turystycznie zakątków świata. Konkurs jest zaplanowany na 27 marca w „Elektryku”, czyli Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 5 w Krośnie. Organizatorem jest nauczyciel geografii – Artur Delimat.



V OPOLSKI FESTIWAL PODRÓŻNICZY

W dniach 25–31 marca odbędzie się piąta edycja największego festiwalu podróżniczego na Opolszczyźnie. To będzie tydzień wypełniony opowieściami z podróży, dalekich i bliskich. Do tego ciekawe warsztaty, wystawy fotograficzne, konkursy z nagrodami i wielka impreza integracyjna wszystkich miłośników podróży. Prelegenci zabiorą słuchaczy m.in.: na wyprawę w tandemie z psem do Laponii, kajakiem po Pacyfiku w poszukiwaniu

niedźwiedzi-duchów, z wizytą do ludożerców w Papui-Nowej Gwinei, samochodem elektrycznym po Afryce, na rowerach przez zamrażnięty Bajkał, w Himalaje, z Francji do Nowej Zelandii, na wózkach inwalidzkich przez obydwie Ameryki, do świata afgańskich kobiet, do kopalni złota w Kongo, w samo serce obrzędów i rytuałów Ameryki Południowej, a nawet do stacji meteorologicznej na Śnieżce. Odległe zakątki świata, przygoda i survival, pokonywanie własnych słabości i przekraczanie granic, pierwsze kroki w podróży, ważne i trudne historie, cała masa inspiracji – to wszystko i jeszcze więcej. Wstęp na wszystkie wydarzenia jest darmowy. Festiwal odbędzie się w Opolu w Studenckim Centrum Kultury, Narodowym Centrum Piosenki Polskiej, a także w Szarej Willi i Filii nr 4 Miejskiej Biblioteki Publicznej. www.facebook.com/ofpopole



RUSZA CHIRUCA EXPEDITION II



Hiszpańska marka butów trekkingowych, Chiruca, zaprasza do udziału w drugiej edycji projektu Chiruca Expedition.

Ruszasz na pielgrzymkę do Santiago de Compostela? Planujesz po raz pierwszy wejść na Rysy lub Rysiankę? A może chciałbyś

zdobyć Zugspitze lub przebiec Atlas Wysoki? Niezależnie od tego, jak bardzo ekstremalne postawisz sobie cele, będziesz potrzebować trwałych i wygodnych butów. Chiruca z okazji 20-lecia obecności marki w Polsce wyposaży w buty 20 wypraw – po 5 każdego roku.

Laureaci pierwszej edycji zorganizowali wyjazd na włoskie wie ferraty, przeszli przez Alpy Bergamskie, zdobyli Kilimandżaro, wspięli się na 100 szczytów z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości oraz odwiedzili 46 stolic Europy.

Zgłoszenia są przyjmowane do 31 marca. Wystarczy wysłać wypełniony formularz na adres biuro@pmdystrybucja.pl lub wypełnić formularz dostępny na stronie chiruca.pl (gdzie jest również regulamin i umowa sponsorska).

NA STYKU KULTUR

Targi Regiony Turystyczne to popularyzacja idei „styku kultur”, oznaczającej poznawanie świata, ludzi, odmiennych kultur i obyczajów. Wydarzenie odbędzie się w dniach 22–24 marca na Hali Expo w Łodzi. Genezą jego powstania jest niezwykle połączenie w jednym mieście wielu kultur, ich wzajemne przenikanie i łączenie. Do prezentacji dorobku kulturowego, walorów turystycznych i specyfiki regionalnej zostali zaproszeni przedstawiciele państw, miast, regionów i organizacji turystycznych. Targi „Na Styku Kultur” są cenione ze względu na wspaniałą atmosferę i ogromną popularność wśród zwiedzających. Są kopalnią pomysłów i niewyczerpalnym źródłem inspiracji związanych ze zwiedzaniem Polski i świata. Wystawcy, którzy uczestniczą w targach, prezentują atrakcyjną ofertę dla tych, którzy planują

wyruszyć w drogę – od standardowych ofert turystycznych, poprzez wszystkie usługi pomocne podróżnikom, kończąc na niekonwencjonalnych metodach wojażowania, bliskich indywidualnym globtroterom. www.nastykukultur.pl



KAJAK JAMBOREE

To ogólnopolski festiwal filmów o tematyce kajakowej i podróżniczej, organizowany przez gdańskie kluby kajakowe, odbywający się w klubie muzycznym UCHO. Bazowymi elementami są konkursy filmowy i fotograficzny, prelekcje zaproszonych gości, a także prezentacje osób i organizacji związanych z aktywnością turystyczną i podróżniczą. Celem wydarzenia jest promowanie aktywnych form spędzania czasu wolnego, integracja środowiska kajakowego oraz zachęcanie do podejmowania nowych wyzwań i projektów podróżniczych. Tegoroczna edycja jest adresowana do szerszej rzeszy odbiorców, nie tylko polskich kajakarzy. Ze względu na dostępność rzek i morza oraz niewielkie wymagania kondycyjno-sprzętowe kajakarstwo jest dostępne niemal dla każdego, dlatego też będzie promowany udział w imprezie osób starszych w cyklu „Pazury emerytury”. Patronem honorowym jest Aleksander Doba – człowiek, który udowadnia, że wiek nie jest ograniczeniem w aktywnym poznawaniu świata.

www.facebook.com/KajakJamboree



KOLOSZY PO RAZ 20.



Po raz pierwszy ceremonia wręczenia statuetek odbyła się w 2000 r. w Wieliczce. Przez kilka kolejnych lat finał miał miejsce w Krakowie, a od 2003 r. nieprzerwanie towarzyszy odbywającym się w Gdyni Ogólnopolskim Spotkaniom Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów. Pomysłodawcą i twórcą Kolosów jest Janusz Janowski, do dziś pozostający ich organizatorem.

20. edycja Kolosów i XXI Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów odbędą się 8–10 marca w Gdyni – w hali Gdynia Arena oraz w salach Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego. Oprócz prezentacji wypraw (nie tylko nominowanych do nagród) oraz uroczystego wręczenia statuetek w programie imprezy znajdą się seminaria, warsztaty, spotkania z autorami książek i wydawcami, salon sprzętu outdoorowego oraz wystawa z okazji jubileuszu 20-lecia Kolosów. Wstęp na wszystkie wydarzenia jest wolny. Z sobotnich prezentacji na tzw. dużej sali w hali Gdynia Arena zostanie przeprowadzona transmisja online.

Z okazji jubileuszu będą wspomnienia (m.in. wybrane, najciekawsze pokazy z ostatnich lat), specjaliści goście, którzy tworzyli klimat imprezy przez dwie dekady, oraz wystawa okolicznościowa. W piątek zaprezentują się nominowani do nagród alpinści, żeglarze i speleolodzy, w sobotę zaś goście zobaczą relacje z wypraw

zakwalifikowanych do Kolosów w kategoriach „Podróże” i „Wyczyn roku”. Niedzielę zdominują pokazy specjalne. Jak co roku Kapituła przyzna nagrody i wyróżnienia w pięciu kategoriach, wręczony zostanie Super Kolos, dowiemy się też, kto zostanie zwycięzcą Nagrody im. Andrzeja Zawady i Nagrody Wiecznie Młodzi, konkursu FotoGlob oraz nagród publiczności.



OSTATNI SNAJPER



Legendarny członek Navy SEALs polskiego pochodzenia i najcięższe walki w historii amerykańskich służb specjalnych. 11 września 2001 r. 19-letni student z irokezem na głowie, oglądając w telewizji atak na World Trade Center, stwierdził że to Pearl Harbour jego pokolenia. Nagle granie w rugby, dziewczyny i piwo straciły urok. Kevin Lacz zapragnął zabijać wrogów i stać się mężczyzną. Braterstwo broni uczyniło go najbliższym przyjacielem i jedynym powiernikiem legendarnego Chrisa Kyle'a. Kiedy Clint Eastwood przystępował do kręcenia „American Sniper”, zaprosił Kevina Lacza na plan, jako jedynego członka SEALsów. Dzięki temu powstał nie tylko realistyczny wojenny film, ale też przejmujące studium psychiki ludzi wyszkolonych do zabijania bez skrępowań.

W „Ostatnim snajperze” najbardziej uderza bezpardonowa szczerość opowieści o ekstremalnych warunkach, okrucieństwie walki, lodowatej nienawiści, ale przede wszystkim tej jedynej w swoim rodzaju więzi, jaka może powstać tylko między mężczyznami, wspólnie ryzykującymi życiem. Wydawnictwo Bellona.

Ekstremalny Rajd na Orientację HARPAGAN-57

Miastko, 12-14.04.2019

- TRASY PIESZE
100 km - 50 km - 25 km - 10 km
- TRASY ROWEROWE
200 km - 100 km - 50 km - 20 km
- TRASA MIESZANA
150 km (50 km pieszo & 100 km rowerem)



DLA NAJLEPSZYCH - WYŚCIG
DLA WIĘKSZOŚCI - WYZWANIE
DLA NIEKTÓRYCH - RYWALIZACJA
DLA WSZYSTKICH - PRZYGODA!



PATRONAT HONOROWY

ORGANIZATOR



Danuta Karaśkiewicz
Burmistrz Miastko



Leszek Waszkiewicz
Starosta Powiatu
Bytowskiego



MIECZYSLAW STRUK
WARSZAWA
WIEŚNODZIELNA, POMORSKIEGO



Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych
w Szczecinie



POZNAJ ŚWIAT POLECA

KOMPAS WIKINGÓW

Na początku wiosny Klub Imprez Z Kompasem zaprasza wszystkich aktywnych na ekscytującą, pieszą i rowerową imprezę na orientację „Kompas Wikingów”. W ramach rajdu uczestnicy wybiorą się w pasjonujący rejs promem Stena Line do Karlskrony. Tam podejmą sportową rywalizację w niesamowitych okolicach – skalistych szkiełach – w terenie pełnym jezior i granitowych głazów, pośród iglastego skandynawskiego lasu. Na drodze napotkają również malownicze miejscowości z charakterystycznymi, typowymi dla Szwecji, drewnianymi domkami w ceglasm kolorze. Na wszystkich czeka moc atrakcji. Terminy rejsów: 21–23 marca, 04–06 kwietnia. www.zkompasem.pl



Mikołaj Gospodarek

PRZEDWIOŚNIE NA PODLASIU



Przedwiośnie zanika. Pory roku się zacierają. Po niby-zimie przychodzi od razu niby-lato. Są jednak jeszcze takie miejsca w Polsce, gdzie można zauważyć, jak przyroda ospale budzi się do życia. Widać to idealnie na wschodzie kraju. Kiedy po zimie na pola wyjeżdżają traktory, powietrze wypełnia zapach ziemi. Niebo robi się czarne od przelatujących gęsi, a na zamarzniętych jeziorach słychać klangor żurawi. Doskonale wtedy wiadomo, że idzie wiosna.



WYLEWNA WIOSNA

Patrząc na łąki nad Narwią, trudno rozpoznać, w którym miejscu znajduje się koryto rzeki. Wiosną z Góry Strękowej można podziwiać „podlaskie morze” pełne wysepek.

Trzymając się wschodniej granicy, przemieszczam się na północ wśród niezwykłych krajobrazów. Kiedy mijam Chełm, w którym koniecznie trzeba odwiedzić Zabytkową Kopalnię Kredy Piszącej, mam coraz bliżej do Bugu. Włodawa jest bramą do nadbużańskiego Podlasia. Nadal wzdłuż granicy w żółtym tempie jadę w kierunku Białegostoku. Po drodze

LUSTERCZKO

Wylewające rzeki tworzą niepowtarzalne krajobrazy. W okolicach Giełczyna można spacerować po wale przeciwpowodziowym i suchą stopą dotrzeć w urokliwe zakątki.

nie brakuje ciekawych miejsc, jak klasztor św. Onufrego w Jabłecznej, cerkiew św. Nikity Męczennika w Kostomłotach czy sanktuarium Matki Boskiej Kodeńskiej w Kodniu. Choć należą do różnych wyznań i obrządków, łączy je duże zainteresowanie pielgrzymów. Tylko to sprawia, że w okolicy choć trochę myśli się o turystach. Ale i tak łatwiej jest tutaj kupić grabie, nawóz czy paszę dla bydła, niż zjeść obiad w restauracji. Im dalej od miejsc kultu, tym robi się bardziej wiejsko i turysta staje się swojego rodzaju atrakcją.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

U TATARÓW I W STAREJ SZKOLE

Pnę się dalej „w górę”. Po drodze robię sobie przerwę w Uroczysku Zaborek. To położony nieopodal Janowa Podlaskiego pensjonat z niezwykle klimatem i świetną kuchnią. Nocuje się tam w domach przeniesionych z regionu Podlasia i Lubelszczyzny. Kiedy z kolei chcę zamieszkać nad samym Bugiem, wybieram się do Schedy Podlaskiej



w Mierzwicach-Kolonii. To stylowo urządzona agroturystyka, w której można złapać oddech podczas podróży pełnej wrażeń.

Następnie, w zależności od upodobań, można udać się do Narwiańskiego Parku Narodowego albo do Białowieskiego Parku Narodowego i dalej do Puszczy Knyszyńskiej. To dwie całkowicie różne wycieczki. Pierwsza będzie idealna dla miłośników ptaków, otwartych przestrzeni i terenowych poszukiwań. Druga przypadnie do gustu zakochanym

w leśnej ciszy. Obie pozwalają podziwiać budzącą się do życia przyrodę. Można je oczywiście połączyć, jeśli nadłożymy drogi.

Zazwyczaj wybieram drogę do Puszczy Białowieskiej i Knyszyńskiej. Przedwiośnie to ostatni moment, nim liście zakryją piękno lasu. Do Białowieży zaglądam z sentymentu i szacunku do tej ostatniej ostoji pierwotnej puszczy. W okolicy Krynek i Supraśla jeżdżę z nastawieniem odkrywcy, który na każdym kroku staje przed wyborem drogi, jaką uda się

KTO RANO WSTAJE...

Takim widokom towarzyszy dźwięk: rytmiczny terkot traktorów. Rolnicy ruszają do pracy skoro świt.



MULTIMEDIA I KONTEMPLACJA

Wystawa w Muzeum Ikon w Supraślu jest multimedialna. Ma wprowadzać w nastrój i pomóc w zrozumieniu roli ikony w prawosławiu.

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

UROCZE UROCZYSKO

Tu wszystko wygląda jak skansen. Uroczysko Zaberek to pensjonat, w którego wnętrzach można poczuć się jak w innej epoce.

dalej. O ile są one przejezdne, dają możliwość poznania niezwykłych zakątków.

W tamtych stronach fascynujący są również polscy Tatarzy. Obowiązkowo trzeba zajrzeć do Kruszynian i Bohoników. Dwa meczety, choć mają cechy wspólne, to są na swój sposób wyjątkowe. W Kruszynianach można dodatkowo posmakować przepysznej kuchni z Tatarskiej Jurty, która buduje się na nowo po pożarze w 2018 r.

Zamiast jechać prostą drogą do Krynek, wybieram szutrową przez Ozierany. Położone tuż przy białoruskiej granicy wioski przypominają koniec świata. Po roztopach drogi są często nieprzejezdne bez napędu 4x4 i umiejętności jeżdżenia w błocie. Można jednak dojechać, jak najdalej się da, i podejść kawałek pieszo. Warto zobaczyć te wioski, póki jeszcze istnieją, a jest ich coraz mniej.



Po sporej dawce świeżego powietrza warto wybrać się do Muzeum Ikon w Supraślu. Ekspozycja w interesujący sposób wprowadza w świat ikonografii. Muzeum jest urządzone naprawdę na wysokim poziomie.

By spróbować podlaskich specjalów, jadę do Łukaszówki w Supraślu albo do restauracji Pod Sokołem w Sokółce. Po pysznym obiedzie w tej drugiej można wybrać się do pobliskiej kawiarni Stara Szkoła,

która serwuje prawdopodobnie najlepszą kawę na Podlasiu.

NAD ROZLEWISKIEM

Jeśli ktoś szuka otwartych przestrzeni, o tej porze roku najlepszym wyborem będzie wizyta nad Narwią i Biebrzą. Obie rzeki są w dużej części chronione przez park narodowy, co z jednej strony ogranicza, ale z drugiej daje

PODRÓŻ PO RELIGIACH

Na wschodzie łatwo spotkać przedstawicieli różnych wyznań. Warto zajrzeć do maleńkich Kruszyńian, zwiedzić meczet i poznać historię polskich Tatarów.



dostęp do infrastruktury turystycznej. Najlepiej widać to w Waniewie w Narwiańskim Parku Narodowym. Kładka na bagnie sprawia, że można podziwiać szeroko rozlane wody Narwi z zupełnie innej perspektywy. W Kurowie warto obejrzeć muzeum przyrodnicze przy siedzibie dyrekcji parku narodowego. Tuż obok również znajduje się kładka wśród bagien, a gdy pojedzie się kawałek dalej wzdłuż Narwi, dojedziemy do zerwanego mostu, wokół którego od lat krążą mroczne legendy. Po każdej jego odbudowie wybuchała wojna. Dzisiaj widać jedynie pozostałości po drodze wytyczonej na grobli.

Aby zobaczyć rozlewiska Narwi, trzeba udać się aż do Tykocina. To miasteczko z ciekawą historią. Bogate tradycje żydowskie i zachowany układ urbanistyczny czynią je wyjątkowym. Tykocin to esencja podlaskich klimatów w miejskim wydaniu. Pamiętam tę

miejsowość z 1999 r., kiedy po starym bruku trudno było przejść z rynku do synagogi. Dzisiaj z zewnątrz Tykocin jest już inny, ale na szczęście jego dusza pozostała nienaruszona. Widać to doskonale w marcu czy kwietniu, kiedy nie ma tam jeszcze tłumu turystów. Przed sklepami parkują wtedy ciągniki, czasami trafi się wóz z koniem, a ludzie na ulicy bez skrępowania rozmawiają ze sobą po „podlaskiemu”.

Kulminacją podróży jest wizyta w miejscu, gdzie Biebrza wpada do Narwi. Warto zajrzeć po drodze do Strękowej Góry, gdzie z mostu bardzo dobrze widać rzekę. W tych okolicach można również wybrać się na długi spacer, bo z każdej strony Narwi prowadzą szersze lub węższe ścieżki. Wyposażeni w kalosze albo wodery mogą udać do Giełczyna bądź pobliskiej osady Kołodziejce. Stamtąd można ruszyć w kierunku rozlewisk – w zależności



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

od stanu wód wytyczają one granice, w które można wejść.

PODRÓŻ PO WIDOKI

Dla tych, którzy zamiast spacerować wolą jedynie podziwiać widoki, najlepszym wyborem w okolicy będzie Góra Strękowa. Jest to dobrze widoczny punkt z pozostałościami bunkrów na szycie. Ceniony fotograf, śp. Wiktor Wołkow, wykonał stąd wiele wyjątkowych zdjęć. O zachodzie jest to miejsce niezwykle i kto raz spojrzy na pomarańczową tarczę słońca, które znikną za skarpą, zakocha się na zawsze w tym widoku. W szczytowym momencie rozlewisk widać z tej góry jedynie zalane wodą łąki. Nad głową przelatują klucze żurawi i stada gęsi.

Jadę w kierunku Wizny i jeszcze kawałek dalej, do Bronowa. Znajduje się tam drewniany most na Narwi, który ze względu na

niezwykłą urodę posłużył jako plener w wielu polskich produkcjach filmowych. Z niewielkiej wioski prowadzi on prosto na ciągnące się po horyzont rozlewiska. Jest to zupełnie nieznanie turystycznie miejsce i trzeba koniecznie odszukać je wcześniej na mapie, żeby znaleźć odpowiednią drogę. Z tych znanych i popularnych trzeba zobaczyć punkt widokowy w Burzynie nad Biebrzą. Jeszcze piękniejsze są widoki ze skarpy w Sieburczyźnie, gdzie jest dużo spokojniej.

Przedwiośnie to nietypowa, piękna pora roku. To nieoczywisty czas na podróż, zwłaszcza na ścianę wschodnią, gdzie nawet latem nie jest turyście łatwo. Ten region jest wymagający – zmusza do samodzielnego dbania o prowiant czy bycia elastycznym, jeśli chodzi o standard noclegów. Można za to obserwować budzącą się do życia przyrodę i czerpać z niej spokój. ○



Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



FOT. MAGDALENA ŻELAZOWSKA

KRAWĘŻNIKOWE ŁOWY

Drogie miasto! Pokaż mi swoje chodniki, a powiem ci, kim jesteś.

A merykański reżyser teatralny Moss Hart napisał o Nowym Jorku, że od swoich przyszłych mieszkańców wymaga tylko jednego – odwagi snucia marzeń. Nie dba o ich przeszłość, pochodzenie ani stan posiadania. Minęła cała epoka, a te słowa są wciąż aktualne. I choć wiele się zmieniło – dziś przybysze stawiają stopę na nowojorskiej ziemi po kilkugodniowym rejsie powietrznym, zamiast kilkutygodniowym morskim, a z otwartością amerykańskich ramion można dyskutować – to pewne rzeczy pozostały takie same.

Jedną z nich jest brak możliwości przywiezienia do Nowego Jorku bagażu, który pozwoliłby na próbę ułożenia sobie tutaj życia. Choć dzieli nas kilka wieków od czasów osadników z Mayflower, to przyjezdny do Wielkiego Jabłka nadal ma zagwozdkę, jak się spakować. Wprawdzie

nie musi taszczyć kufrów i skrzyń, zastanawiając się, czy zbyt ciężki ładunek nie pośle jego statku na dno, ale ogranicza go waga bagażu lotniczego i jego dozwolona zawartość. Przekonałam się o tym ostatnio, gdy nadawałam kurierem tzw. mienie przesiedleńcze. Moja pościel, ubrania i buty zostały uznane za niedopuszczalne i niebezpieczne, w związku z tym do Nowego Jorku dotarłam tylko ja, ale nie mój dobytek. Jego brak zdawał się podwójnie dojmujący na gołej podłodze pustego mieszkania, które zgodnie z miejscowym zwyczajem wynajęłam nieumeblowane. Można powiedzieć, że byłam goła i wesoła, choć akurat nie było mi do śmiechu.

Ale słowa Mossa Harta znów okazały się prawdziwe. Nowy Jork powiedział mi: nie bój nic, w nagrodę za to, że miałaś śmiałość tu przyjechać, dam ci wszystko,

czego potrzebujesz. I zesał mi mannę z nieba. Pierwszego sobotniego ranka, kiedy wyszłam przejść się po okolicy (i rozejrzeć za sklepem z meblami), wróciłam objuczona, bez wydania ani dolara. Spacerowanie po ulicach Nowego Jorku przypomina poszukiwanie skarbów, tyle że bez mapy i wykrywacza metali. Ktoś musiał mi wytłumaczyć, jak to działa. Amerykanie wystawiają na chodniki wszystko, co uważają za niepotrzebne. Przed każdym budynkiem mieszkalnym jest niski płotek, za którym stoją kubły na śmieci. Wszystko, co ląduje obok pojemników albo poza płotkiem, na chodniku, to tzw. wystawka – rzeczy, które można sobie wziąć. Nowojorczyki wystawiają wszystko, co im się podniszczyło, opatrzyło albo znudziło. W polskich kategoriach są to na ogół rzeczy dobre i sprawne, często prawie jak nowe, a czasami

wartościowe właśnie dlatego, że stare. W mojej sytuacji były jak znalazł – w przełom i dosłownie.

W oczekiwaniu na wyprostowanie sprawy z niedostarczoną przesyłką stałam się posiadaczką darmowego regału na książki, drewnianych krzeseł, dwóch komód i dwóch obrazów, a także wózka dziecięcego i fotelika samochodowego. A to tylko wierzchołek góry lodowej, skromne odpryski z sezamu, jaki stanowią tujejsze ulice. Szczególnie udane łowy zdarzają się w weekendy, bo wtedy najczęściej ludzie organizuje generalne porządki, przemeblowania albo przeprowadzki. Spacer po dzielnicy mieszkalnej w okolicach południa przypomina wtedy brodenie po plaży, przez którą przetoczył się sztorm i wyrzucił na powierzchnię to, co skrywały morskie odmęty. Znajdzie się sporo śmieci, czasem ładne szkiełko, a czasem prawdziwa perełka. Sobotnio-niedzielne tornado sprzątania patroszy nowojorskie domy z wnętrza. Rzuca je na pożarcie krawężnikowym sępom, a ciekawym obserwatorom dostarcza materiałów do badań. Bo czy można więcej dowiedzieć się o społeczeństwie niż na podstawie jego śmieci?

Na chodnikach lądują najczęściej meble. Poobijane stoliki do kawy, wysiedziane kanapy, lekko wytarte fotele i chwiejące się półki stanowią przegląd miejscowej stylistyki wnętrza. Zagadkowe plamy i kłębki sierści na dywanach każą się domyślać liczby domowników i ich zwyczajów. Czasem jedynym powodem skazania sprzętów na banicję jest niemodny kolor albo wymiar niepasujący do tujejszych wąskich pokoi. Stałymi bywalcami chodników są też akcesoria dziecięce. Musiałam minąć już z dziesięć niemowlęcych chodzików, kuszących kolorowymi grzechotkami. Gdybym miała w domu niemowlę, wzięłabym je wszystkie. Rzucam się za to na sterty książek i gazet, licząc na ładne okładki New Yorkera (reprodukcje redakcja sprzedaje po 100 dolarów!).

Najprzyjemniejsza jest niepewność, co dziś się trafi, ta ciągła nadzieja na niespodzianki, która każe iść z nosem przy ziemi, a nie podziwiać widoki. Uczucie, które zbliża ludzi. Miejskowa grupa facebookowa wysyła sobie *curb alert*, czyli krawężnikowy alarm. Jeśli widzą coś, czego sami nie wezmą (pewnie z braku miejsca), fotografują wystawkę i podają adres.



Polski Caravanning

Podróż przecież nie zaczyna się w momencie, kiedy ruszamy w drogę, i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.

Ryszard Kapuściński

Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravanning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravanning.pl

R E K L A M A

Kto pierwszy, ten lepszy! Niektóre kaski właściciele sprzedają za przysłowiowego pensa. Może powiecie, że to obrzydliwe, że zbieranie rupieci. Ale jest w tym zwyczaju coś szlachetnego, jakaś próba rehabilitacji za to, ile to gigantyczne miasto codziennie przejeżdża, marnuje i śmieci. Wystawki i drobni zbieracze są przeciwwagą dla nowojorskiego pędu, konsumpcyjnego drżenia i zachłanności. Można odczuwać wieczny głód posiadania więcej, grunt to sycić ten głód z głową. A pewnego dnia, kto wie, może trafi się prawdziwy los na loterii.

Pewien amator staroci wypatrył kiedyś obrazek w ładnej, ale zniszczonej ramie. To właśnie ona, a nie sama grafika,

interesowała go najbardziej. Kiedy zdjął ją do renowacji, zza obrazka wypadła złożona na pół kartka. Okazało się, że był to jeden z 24 egzemplarzy Deklaracji Niepodległości, który wyceniono na 2,5 miliona dolarów. A więc nie znamy dnia ani godziny. Na wszelki wypadek lepiej mieć oczy otwarte! ◯

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.

DWA WODOSPADY I ZA DUŻO DĘSZCZU

Piotr Miklaszewski



FOT. PIOTR WIKASZEWSKI

PANTA RHEI

Wodospady mają w sobie coś, co sprawia, że chce się je obserwować. Niby ciągle to samo, a jednak w każdej sekundzie masa przelewającej się wody przyjmuje nową i niepowtarzalną formę. Na zdjęciu wodospad Gocta.



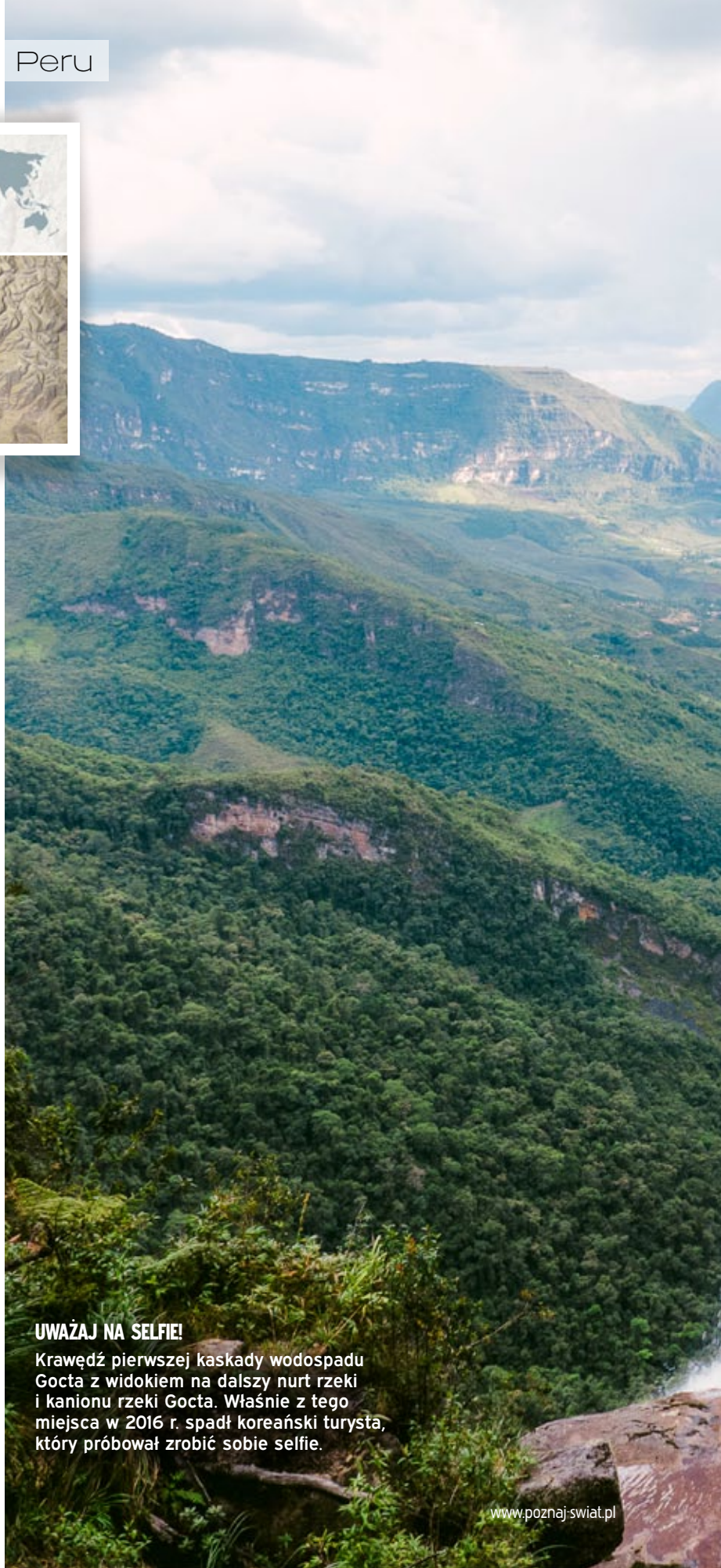
Kiedy ludzie mówią o Peru, myślą zazwyczaj o Machu Picchu, lamach, Tęczowych Górach, rysunkach z Nazca i górzystym Cuzco. Jednym słowem, o południowej części kraju.

Tymczasem północno-wschodnie rejony Peru leżą w klimacie lasu równikowego i pewnie niewiele osób wie, że znajdują się tam aż trzy z piętnastu najwyższych wodospadów świata – Gocta, Yumbilla i Tres Hermanas.

Gocta, o wysokości 771 m, jest najmniejszym z tych trzech wodospadów, ale chyba najbardziej spektakularnym. Choć strumień wody nie jest tak potężny, jak w osławionym, najwyższym na świecie, wenezuelskim Salto Angel, to ilość wody jest wystarczająco imponująca. Zwłaszcza u podnóża, gdy dystans przestaje zaburzać perspektywę. Dodatkowo po każdym deszczu strumień robi się błyskawicznie

UWAŻAJ NA SELFIE!

Krawędź pierwszej kaskady wodospadu Gocta z widokiem na dalszy nurt rzeki i kanionu rzeki Gocta. Właśnie z tego miejsca w 2016 r. spadł koreański turysta, który próbował zrobić sobie selfie.





FOT. PIOTR MIKŁASZEWSKI



CIENKO, ALE MOKRO

Pierwsza kaskada wodospadu Yumbilla. Choć strumień nie jest imponujący, jego bryza u podnóża potrafi zmoczyć dokumentnie.

kilkukrotnie większy. Zobaczenie Salto Angel wymaga zapłaty ok. 350–400 dolarów, lotu awionetką i licznego towarzystwa innych turystów. Tymczasem odwiedzenie Gocta kosztuje 10 soli (czyli ok. 11 zł), bo tyle wynosi opłata za wejście, oraz zaledwie 5 lub 10 km marszu – w zależności od tego, czy zaczniemy iść od głównej asfaltowej drogi, czy skrócimy sobie spacer i pojedziemy mototaxi, przypominającym azjatyckie tuk-tuki.

PIĘKNY I ZADBANY

Wodospad znajduje się bardzo blisko głównej drogi i cywilizacji. Dwie wioski leżą tuż obok niego, a 40 km dalej jest dość duże miasto – Chachapoyas. To jedna z najstarszych osad założonych przez hiszpańskich morder... „odkrywców”. Dlatego ogromnie śmieszą twierdzenia, że wodospad został odkryty w 2002 r. przez niemieckiego badacza, lub informacje w broszurach i na stronach agencji turystycznych, iż „znajduje się w niedostępnej części Andów”. Miejscowi znali wodospad od setek, jeśli nie tysięcy lat. To tak, jakby zagraniczny turysta przyjechał w polskie Tatry i powiedział, że odkrył Morskie Oko.

Tak czy inaczej, od wizyty Niemca miejsce to zaczęło być bardziej popularne. Najwidoczniej odkrywca uświadomił miejscowym oraz peruwiańskim władzom, że mogą na wodospadzie zrobić dobry interes. Pomógł w tym dodatkowo, wprowadzając do obiegu błędną informację, że jest to trzeci najwyższy wodospad świata. Tymczasem, chociaż nie odkryto wtedy jeszcze wszystkich wyższych od niego, to jednak znanych już było kilka wyższych w Norwegii i USA. Niestety, ta błędna informacja do dziś krąży w wielu mediach.

Nie zmienia to faktu, że wodospad jest piękny, a mieszkańcy wykorzystali daną im szansę. W przeciwieństwie do wielu miejsc na świecie, gdzie tubylcy ściągają opłaty, ale nie dają nic w zamian, tutaj widać włożoną pracę. Ścieżki są zadbane, wzmocnione kamiennymi lub drewnianymi konstrukcjami. Są nawet kosze na śmieci, co w Peru jest wręcz cudem. Ba, są nawet pracownicy, którzy w ciągu dnia kilka razy pokonują te wszystkie kilometry, aby zebrać śmieci oraz uprzątnąć trasę z odchodów koni i osłów.

Jeśli ktoś chce obejrzeć obie kaskady wodospadu, to wycieczkę można zrobić w jeden długi dzień lub też rozłożyć ją na dwa dni z noclegiem pod namiotem. W ten sposób sprawimy, że będzie przyjemniejsza. Taki był właśnie nasz plan. No ale nic z przyjemności nie zostało, bo bez ostrzeżenia nadciągnęła gigantyczna ulewa, która trwała ponad godzi-

Dojazd z Chachapoyas do rozwidlenia dróg z główną trasą kosztuje 5 soli. Czterdzie- stokilometrowa jazda również dostarcza mnóstwa atrakcji, bo jedzie się wąskim kanionem rzeki w otoczeniu suchych i stromych wzgórz. Jeśli trafi się na typowego, zwariowanego peruwiańskiego kierowcę oraz deszcz, to wycieczka może przynieść jeszcze więcej emocji.



nę. Zmoczyło nas tak, że zamiast w basenie mogliśmy pływać we własnych ubraniach i butach. Do tego zaczęły przemakać pokrowce na plecach. Jak się później dowiedzieliśmy, deszcz pada tutaj codziennie od godziny ok. 13 do 14. Poza typowym klimatem lasu równikowego wywołuje go jeszcze spadająca woda: wytwarzany przez wodospad podmuch wznosi wilgoć w niebo, a ta po kilku godzinach musi opaść. Szkoda, że nikt nas o tym nie ostrzegł.

Od skrzyżowania mamy do wyboru spacer lub podjechać mototaxi do wioski: Coca-chimba lub San Pablo. Jeśli chcecie zobaczyć Gocta w całości z bliska, zalecam zacząć z San Pablo, które jest położone wyżej. Po zobaczeniu pierwszej, wyższej kaskady schodzi się na dół stromą ścieżką. My niestety, niezorientowani w topografii, zaczęliśmy od Cocachimba, i wspinaczka pochłonęła nam mnóstwo sił. Na dodatek w połowie drogi spotkała nas wspomniana ulewa.

SILA DWÓCH ŻYWIŁÓW

Podmuchy mas powietrza i wody powodują, że u podnóża drugiej kaskady Gocta trudno ustać, a uderzające krople wywołują nawet lekki ból.



KONTEMPLACJA (Z PSEM)

Amazoński las równikowy i Andy, w których znajdują się wodospady, dostarczają wspaniałych widoków niezależnie od pory dnia i aury.

POTĘGA PRAWIE BEZ WODY

Zaledwie 20 km dalej od Gocty zaczyna się droga do wodospadu Yumbilla. Pierwszy etap to znalezienie kierowcy mototaxi chętnego zabrać nas z miasteczka Pedro Ruiz do położonej na wysokości 1900 m n.p.m. wioski Cuispes. Standardowa cena dla lokalsów to ok. 5 soli, ale białemu gringo z trudnością uda się wynegocjować taką kwotę. Trasę można wprawdzie pokonać pieszo – to jednak 9 km nieustannej drogi pod górę, i to bez żadnych zacienionych miejsc. Więc raczej warto dać się odrobinę „naciągnąć” i podjechać. Jeśli jeszcze odpowiednio poprowadzimy negocjacje z kierowcą, to zabierze nas 2,5 km wyżej niż wioska, gdzie zaczyna się właściwa ścieżka do tego 895-metrowego wodospadu.

Trasa jest o wiele ciekawsza niż ta w okolicach Gocta. Idzie się wąskim korytarzem gęstej roślinności lasu amazońskiego. Nie jest oczywiście tak bujnie, jak na nizinnych fragmentach Amazonii, ale można poczuć klimat dżungli. My szliśmy w nocy, więc niepokój był odpowiednio potęgowany przez nieustanne hałasy z konarów drzew, nietoperze śmigające centymetry od naszych twarzy czy latające świetliki. Szlak prowadzi wzdłuż stoku pionowej ściany płaskowyżu. Co chwilę więc naszym oczom ukazywały się strome formacje skalne, ze zwisającymi drzewami i gałęziami porośniętymi gęstym mchem, których korzenie w szalonym tańcu próbują łapać się skał. Przed dotarciem do celu mija się co kilkaset metrów jakiś drobny, ale dość wysoki wodospad. Są też dwa punkty widokowe, gdzie przerwa w gęstwinie umożliwia podziwianie dziesiątków kilometrów doliny oraz oddalone szczyty Andów.

Yumbilla trochę rozczarowuje. Cała potęga tego wodospadu umyka, przede wszystkim przez fakt rozbitcia na cztery kaskady, z czego jedną w ogóle niedostępną do oglądania. Poza tym między kaskadami występują odcinki, gdzie Yumbilla przestaje przypominać wodospad, a zamienia się w płynący po niemal poziomym terenie strumyk. No właśnie – strumyk! Nawet nie potok. Ogólnie ilość wody, jaka płynie w Yumbilla, jest mała. Być może sprawa ma się zupełnie inaczej w pełni pory deszczowej. My byliśmy na jej początku.

Wtedy najciekawszym „elementem” jest przygotowana trasa z linami, dzięki którym można zejść po momentami pionowej skarpie do podnóża jednej z kaskad. Cała ścieżka oraz widoki na wodospad są ciekawe.

Zarówno tutaj, jak i pod Gocta, można było zobaczyć dziesiątki rodzajów motyli: pastelowożółte z dużymi eliptycznymi czerwonymi plamami, całe różowe, błękitne, czarne z żółtymi lub niebieskimi liniami czy prawie przezroczyste, a do tego inne ciekawe owady.



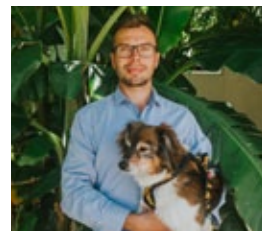
FOT. PIOTR MIKLASZEWSKI

SMAŻONE BANANY I KONIEC

Wracamy do Cuispes, wioski, gdzie nawet trudno kupić najpopularniejszy na świecie ciemny napój gazowany. Wszędzie za to można nabyć banany. Standardowa cena to 1 sol. W ogóle w Peru występuje tyle odmian bananów, ile w Polsce jabłek. Są o posmaku bardziej cytrynowym i bardziej orzeszkowym; bardziej wilgotne i bardziej kruche. Jedne wielkie jak dwa standardowe sprzedawane w Polsce, inne wielkości małego batonika. Jednak najlepsze, co można zjeść z banana w Peru, to *chifles*, czyli smażone banany, przypominające chipsy, przyprawione na słono, pikantnie lub słodko.

Zajadając się właśnie taką paczką, zjeżdżamy mototaxi do Pedro Ruiz. Jak pod górę kierowcy niechętnie biorą więcej niż dwie osoby i cięższe bagaże, tak teraz zjeżdżamy w piątkę, z trzema plecakami oraz psem. Dwoje pasażerów siedzi na nadkolkach.

Zaletą okolic Yumbilla jest to, że znajdują się tu jeszcze dwa inne duże wodospady: Pabellon i Chinata. Trasa do Pabellon zaczyna się w tym samym miejscu, co ścieżka do Yumbilla, ale skręca się w przeciwnym kierunku. Droga do Chinata jest trochę bardziej skomplikowana. My je sobie jednak odpuściliśmy – z uwagi na ogólne zmęczenie i przemoczenie dwoma ulewami. Uznaliśmy, że dość już nam wody i czas na wysokie góry w rejonie Huaraz. ○



Piotr Miklaszewski

Kiedyś dziennikarz opisujący nowe akty prawne i rozprawy sądowe. Dwa lata temu porzucił „normalne” życie. Wręcz z żoną i psem ruszył w podróż z plecakiem dookoła świata. Obecnie twórca bloga Podróże z Pazurem.



FOT. OLGA KACZAREK

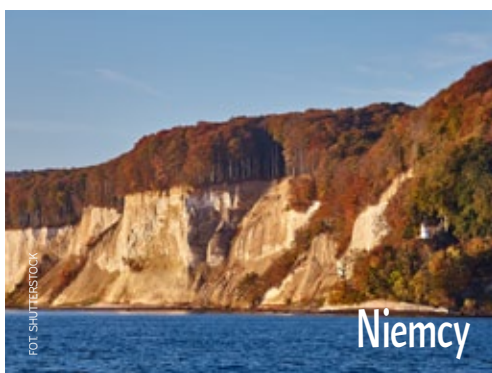
NAVIGATOR



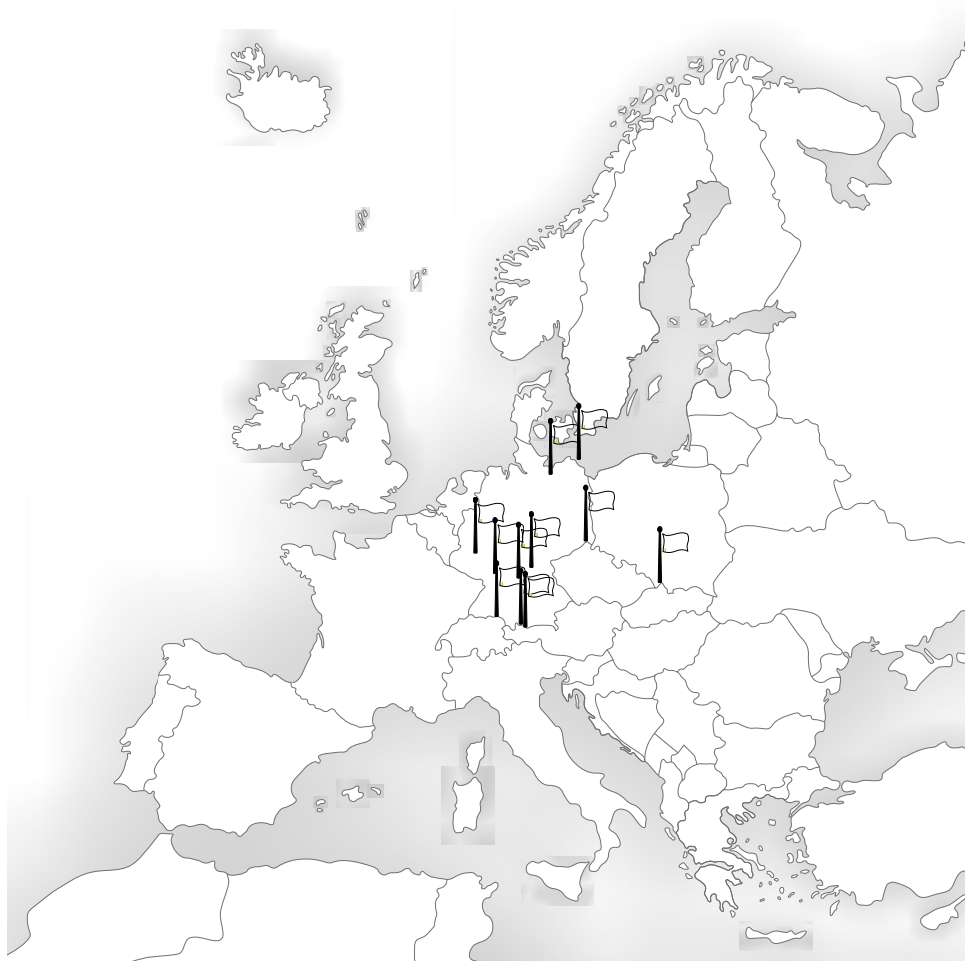
Nasze rekomendacje na krótkie wypady



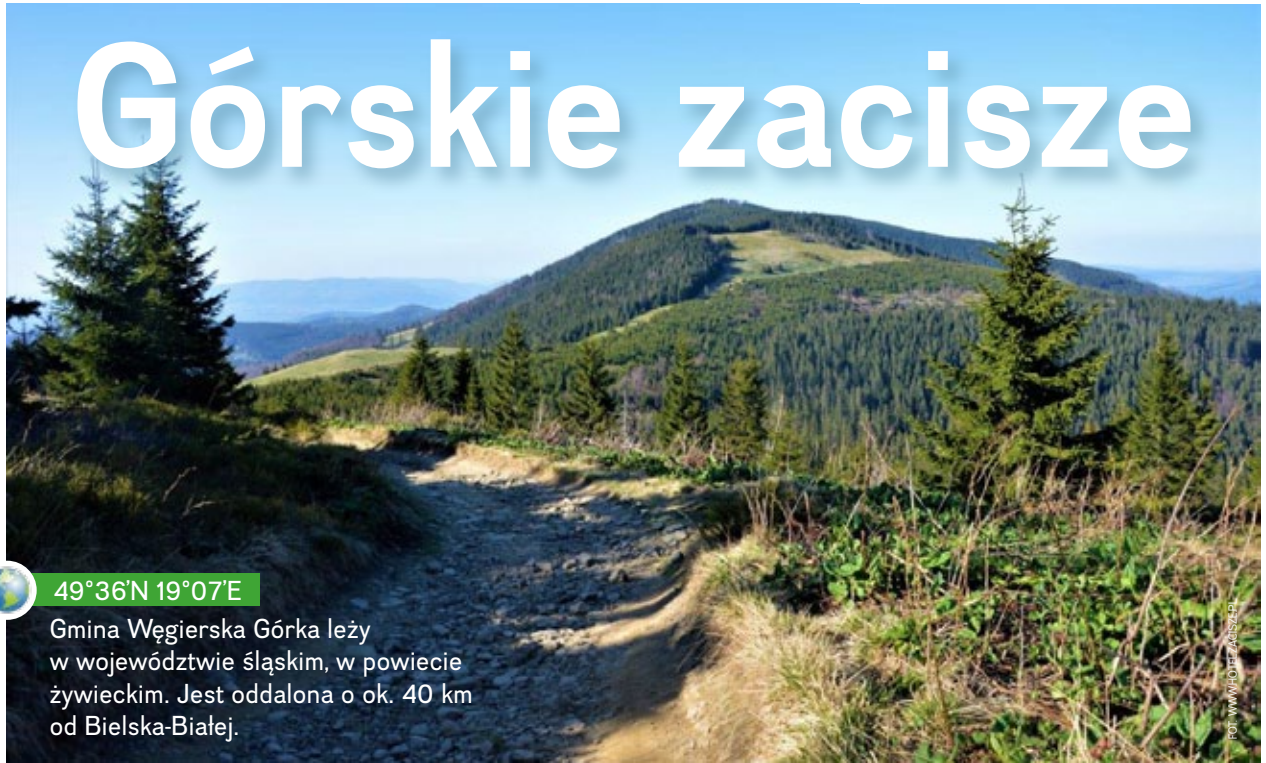
FOT. WWW.HOTEL.ZACISZE.PL



FOT. SHUTTERSTOCK



Górskie zacisze



49°36'N 19°07'E

Gmina Węgierska Górką leży w województwie śląskim, w powiecie żywieckim. Jest oddalona o ok. 40 km od Bielska-Białej.

Malowniczy region Beskidu Żywieckiego oferuje doskonałe warunki do wędrówek górkimi szlakami. Beskidzkie szczyty są łagodne i niewysokie, dzięki czemu nadają się także dla początkujących turystów. W gminie Węgierska Górką są się również rozmaite ścieżki piesze oraz rowerowe.

Na jej terenie znajdują się forty obronne z II wojny światowej: „Wędrowiec”, „Waligóra”, „Wąwóz”, „Włóczęga” i „Wywidab”. Węgierska Górką zasłynęła bohaterską obroną w czasie kampanii wrześniowej 1939 r.

Jedną z większych atrakcji jest Muzeum Browaru Żywiec – najbardziej nowoczesna placówka tego typu w Polsce. Browar został założony w 1856 r. przez arcyksięcia Habsburga. Ciekawym miejscem jest również góra Żar (761 m n.p.m.) – druga w Polsce co do wielkości (po Żarnowcu) elektrownia

szczytowo-pompowa, na której znajduje się sztuczny zbiornik wodny, mogący pomieścić 2,5 mln m³ wody. Jest ona tłoczona z położonego o 440 m niżej jeziora. Spada do wnętrza góry Żar i napędza turbiny elektrowni. Dodatkową atrakcją na Żarze jest park linowy oraz tor saneczkowy. Jest również trasa narciarska o długości 1600 m, sztucznie naśnieżona, oświetlona, z nagłośnieniem.

W gminie warto się zatrzymać w hotelu Zacisze w miejscowości Cisiec. Otoczenie pozwala odnaleźć chwilę spokoju, uciec od hałasu i odetchnąć świeżym górkim powietrzem. Obiekt ma restaurację, sale konferencyjno-bankietowe, strefę Wellness&SPA (ogólnodostępny basen, saunę suchą, łaźnię parową, grotę solną, jacuzzi). www.hotelzacisze.pl



Setki zachwycających miejsc u naszych zachodnich sąsiadów są wciąż omijane przez Polaków. Wirtualna Polska poleca 10 zakątków, które zdecydowanie warto zobaczyć w Niemczech.

Meersburg

Miasto leży nad Jeziorem Bodeńskim, w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia. Kolor wody przypomina tu Adriatyk, a architektura Szwajcarię. Meersbrug słynie z przepięknego, średniowiecznego starego miasta. Jest ono podzielone na dwie części – dolną i górną, które są dostępne wyłącznie dla pieszych. Łączą je schody i jedna stroma ulica Steigstrasse. Atrakcję stanowią także dwa zamki – z VII i XVIII w.



47°42'N 09°16'E

Meersburg leży nad Jeziorem Bodeńskim, 135 km od Stuttgartu.



Rothenburg ob der Tauber

Rothenburg ob der Tauber leży w Bawarii. Kusi pięknie zachowaną średniowieczną starówką z wąskimi ulicami i kamienicami ozdobionymi licznymi wieżyczkami. Rothenburg odwiedzają turyści z całego świata – słynie jako idealny przykład średniowiecznego niemieckiego miasta. Jego baśniowy wygląd sprawia, że to także doskonałe miejsce na wycieczkę z dzieckiem.



49°23'N 10°11'E

Rothenburg ob der Tauber znajduje się przy granicy z Badenią-Wirtembergią. Leży w paśmie Frankenhöhe, około 30 km na północny zachód od Ansbachu.

Szwajcaria Saksońska

Na granicy Niemiec i Czech, wzdłuż rzeki Łaby, wyrasta jeden z najpiękniejszych europejskich krajobrazów. Woda wyrzeźbiła w piaskowcu głębokie wąwozy, których skalne ściany są na szczytach zaokrąglone na skutek erozji. Położona na południe od Drezna Szwajcaria Saksońska w 1990 r. została ustanowiona parkiem narodowym. To także ukochane miejsce fanów wspinaczki. Jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc jest, położona po niemieckiej stronie, Bastei (pol. Baszta) – charakterystyczna skała z punktem widokowym. Oferuje rozległą panoramę na dolinę Łaby i krajobraz Szwajcarii Saksońskiej. Pomiędzy skały wkomponowano tu ponad 70-metrowy most. Początkowo był drewniany, ale pod koniec XIX w. na jego miejscu powstał most z piaskowca.



50°54'N 14°18'E

Znajduje się po obu brzegach Łaby, na południowy wschód od Drezna.



Bamberg

Bamberg leży na terenie Bawarii i potrafi zachwycić każdego pięknie zachowanym średniowiecznym starym miastem, które w 1993 r. zostało wpisane na listę UNESCO. Podobnie jak Wieczne Miasto, Bamberg leży na siedmiu wzgórzach, dlatego często nazywa się go niemieckim Rzymem. Stary ratusz szczególnie imponująco prezentuje się po zmroku – oświetlony feerią świateł.



49°54'N 10°54'E

Bamberg leży nad rzeką Regnitz, która w odległości ok. 7 km od centrum miasta uchodzi do Menu.



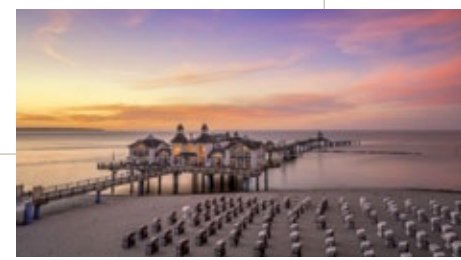
Rugia

Rugia, największa niemiecka wyspa, zachwyca wspaniałym krajobrazem półwyspu Jasmund. W 1990 r. założono tu najmniejszy park narodowy w kraju, a tutejszy las bukowy znajduje się na liście UNESCO. Turystów przyciągają malownicze wapienne klify, obejmujące powierzchnię aż 2200 ha. Odwiedzający zawsze kierują się na skałę Königsstuhl, czyli Tron Królewski (118 m n.p.m.). Na jej szczycie znajduje się platforma widokowa, z której roztacza się piękna panorama wybrzeża i Bałtyku.



54°21'N 13°21'E

Największa wyspa Niemiec oraz Pomorza położona w południowo-zachodniej części Bałtyku.





Cochem

Monumentalna twierdza w miejscowości Cochem, w kraju związkowym Nadrenia-Palatynat, należy do najpiękniej położonych zamków w Europie. Znajduje się na szczycie wzgórza, które góruje ponad 100 m nad brzegiem rzeki Mozeli. Historia budowli sięga czasów średniowiecza, jednak zamek został zniszczony w XVIII w. Odbudowano go pod koniec XIX w. w duchu neogotyku.



50°09'N 07°10'E

Cochem leży nad Mozelą, 90 km na południe od Bonn.

Schwerin

Usytuowany na wyspie zamek Schwerin znajduje się w centrum miejscowości o tej samej nazwie i jest obecnie siedzibą parlamentu Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Obecny kształt zawdzięcza gruntownej przebudowie w XIX w., a za wzór architektom posłużyły francuskie zamki nad Loarą, głównie Chambord. Z obiektem jest związana legenda o koboldzie, który mieszka w piwnicach zamku. Postać podobna do krasnoludka budziła niegdyś śpiących na warcie żołnierzy, straszyla i karała złodziei, a dobrych ludzi nagradzała. Jest on obecnie maskotką miasta.



53°38'N 11°24'E

Miasto znajduje się w zachodniej części Meklemburgii, wśród jezior: Schweriner See, Heidensee, Ziegelsee.



Eibsee

Jezioro Eibsee leży w Alpach Bawarsko-Tyrolskich, 9 km na południe od Garmisch-Partenkirchen – znanego ośrodka sportów zimowych, w którym co roku odbywa się słynny Turniej Czterech Skoczni. Tuż nad taflą jeziora wznosi się najwyższy szczyt Niemiec – Zugspitze (2962 m n.p.m.). W okolicach północnego brzegu można zobaczyć osiem malowniczych wysepek, nadających zbiornikowi śródziemnomorskiego klimatu.



47°27'N 10°58'E

Jezioro leży 9 km na południowy zachód od Garmisch-Partenkirchen.

Zamki Bawarii

Alpejską krainę szczególnie pokochał książę bawarski Ludwik II i wybudował tu swój własny, magiczny świat. Ekscentryczny władca upodobał sobie baśniowe zamki i nie żałował pieniędzy z królewskiego skarbcza na ich budowę. Hohenschwangau, Linderhof i najslawniejszy Neuschwanstein można podziwiać do dziś wśród majestatycznych szczytów Alp. Malowniczo położone wśród bawarskich jezior, zachwycają bajkową architekturą.

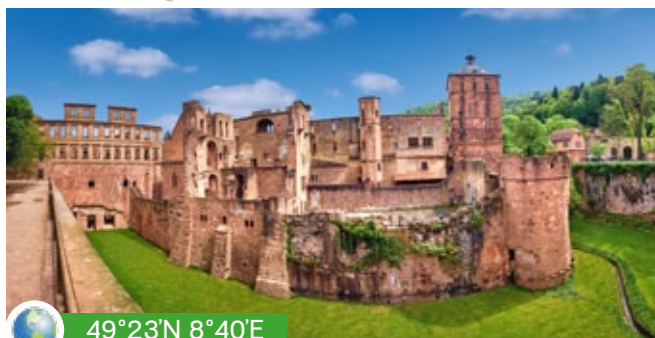


47°33'N 10°44'E

Hohenschwangau – zamek położony na terenie gminy Schwangau (w dzielnicy Hohenschwangau), niedaleko Füssen w południowej Bawarii.



Heidelberg



49°23'N 8°40'E

Heidelberg leży po obu stronach Neckaru, na zboczach południowego Odenwaldu, u podnóża góry Königstuhl.

Do najpiękniejszych miast na terenie Niemiec z pewnością zalicza się Heidelberg, położony w Badenii-Wirtembergii. Jego historia sięga aż II w. p.n.e., gdy powstała tu pierwsza osada celtycka. Należy do nielicznych miast niemieckich, które nie zostały zniszczone w trakcie drugiej wojny światowej i dzięki temu zachowały niezwykłą atmosferę. W Heidelbergu znajduje się także najstarszy uniwersytet na terenie Niemiec.



Magdalena Żelazowska

ZIMOWE PRZYJEMNOŚCI

Śnieg skrzypi pod raketami. Nie skrzy się w słońcu, bo to jeszcze nie wzeszło. Ciemność nad czarną ścianą świerków dopiero zaczyna się rozmywać. Przyspieszone oddechy maszerujących wzniecają obłoki pary w ten mroźny ranek. Im dalej w las, im bardziej pod górę, tym rozmowy stają się cichsze. Zmieniają się w pojedyncze słowa, rzucane z coraz mniejszym zapalem, ustępującym z powodu wysiłku. Aż w końcu milkną zupełnie. Bo widok, który rozciąga się u naszych stóp, wszystkim odbiera mowę.

Jezioro Turracher See stopniowo wkracza w plamę światła wschodzącego słońca. Latem byłoby jak niebieskie oko pod zieloną powieką limbowych lasów, ale zimą przykrywa je gruba warstwa śniegu. Za godzinę po zamrożonej tafli zacznie jeździć *seetaxi* – taksówka w postaci śnieżnego ciągnika, który za pomocą specjalnego uchwytu przeciąga narciarzy z jednego stoku na drugi, dzięki czemu unikają niewygodnego ściągania nart. Ale o tej porze wszyscy jeszcze śpią. Wstały tylko ranne ptaszki, takie jak ja, które przed świtem zwlekły się z ciepłych łóżek i wbiły w grube warstwy zimowych ubrań, by wspiąć się na punkt widokowy. Poza zachwycającą panoramą czekają inne nagrody. Pierwsza to rozgrzewające śniadanie w gospodzie, które przygotowują dla nas pracujący tu od kilku sezonów Polacy (szczęściarze!). Druga

to możliwość zjazdu po dziewiczym, świeżo wyratrakowanym stoku.

SZUS W STARYM STYLU

Znajduję się na pograniczu Styrii i Karyntii. Płaskowyż Turracher Höhe rozpościera się na wysokości 1763 m n.p.m. w Alpach Gurktalskich. W czułych objęciach dwutysięczników umościło się jezioro Turracher See, a nad nim mały kurort, latem ściągający miłośników wędrówek i kuracjuszy pragnących podreperować zdrowie górskim powietrzem.

Zimą ta przysypana śnieżnym puchem kraina sprawia wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał. Może to przez przytulne wnętrza XIX-wiecznego hoteliku Genießler-Schlosshotel Seewirt, gdzie po dniu spędzonym na stoku można usiąść przy kominku z kieliszeczkami



aromatycznego *Zirbenschnaps*, czyli nalewki z szyszek limby. Może przez towarzystwo butlera – osobistego narciarskiego asystenta w stroju hołdującym modzie sprzed stu lat: wełnianym płaszczu, skórzanym kasku i staroświeckich goglach. Aby spędzić dzień w jego towarzystwie, należy zatrzymać się w jednym z hoteli oznaczonych symbolem niebieskiej muszki kamerdynera i zamówić taką usługę, która dla gości w Turracher Höhe jest bezpłatna.

Butler to opiekun, przewodnik, trener i wesoły towarzysz w jednym. Pokaże nam najciekawsze trasy, opowie o okolicy i pomoże odnaleźć mobilny bar prowadzony przez panią Gertraud, serwujący wszystkim narciarzom darmowe prosecco. I zarazi entuzjazmem,

jak Christian, krzepki siedemdziesięcioletek. Wiele lat przepracował w banku, ale na emeryturze chciał żyć inaczej – pracować na świeżym powietrzu, więcej się ruszać, być bliżej ludzi. Wrócił więc w rodzinne strony i teraz pracuje głównie dla przyjemności: latem jako przewodnik, zimą jako butler.

SKALNE SKARBY

Rodzinnych stron nigdy nie opuściła rodzina Kranzelbinder, która od 60 lat prowadzi w Turracher Höhe małe muzeum i sklep z minerałami

KROK W KROK

Zimowe wędrówki poza szlakiem są jak medytacja – miarowe oddechy, równe tempo, cisza i piękno natury.





NIECH SKRZYPI

Jeśli ktoś kocha dźwięk skrzypienia śniegu pod stopami, spacer na raketach będzie jak muzyka dla uszu.



i kamieniami szlachetnymi. Poza tymi pochodzącymi z najbliższej okolicy można tu podziwiać imponujące zbiory z całego świata. Kilka pokoleń własnoręcznie wydobywało cenne okazy lub kupowało je w Azji, Afryce czy Ameryce Południowej. Norbert z dumą po-

Z GÓRKI I POD GÓRKĘ

Skuter to opcja dla tych, którzy w nartach nie lubią odcinka pod górę.



kazuje pozółkłe zdjęcia swojego ojca, Ruperta, który zapoczątkował rodzinną tradycję wydobywania i obróbki kamieni. Słucham opowieści o rzemiośle przekazywanym z dziadka na ojca, z ojca na syna, i ronię łezkę wzruszenia na wspomnienie własnych dziecięcych zabaw w paleontologa. Gdybym trafiła tu przed laty, byłabym zachwycona: muzeum organizuje warsztaty geologiczne i poszukiwanie złota dla najmłodszych.

Choć dorosłam, dawne emocje odżyły. Czuję się jak w szamie Ali Baby: podziwiam kryształ górskie, jaskrawe azuryty, ametysty wylewające fioletowy przepych z przepołowionych szarych grud, jak niepozorny owoc zachwycający kolorem i słodyczą. Ale nie dają się uwieść feerii barw i blasków. Mój gust jest bardziej wysublimowany. Zachwyca mnie czym innym – plastrami skamieniałych pni drzew. Mniej krzykliwe, stonowane, rzucają na kolana czymś innym: liczą nawet 200 milionów lat! Na zewnątrz rozglądam się i wiem, że otaczający mnie górski krajobraz to tylko zewnętrzna warstwa, pod którą kryje się wiele niespodzianek.

PRZYSMAK Z ODZYSKU

Nic tak nie wyostrza apetytu jak ruch na zimowym powietrzu i nic go tak nie syci jak austriacka kuchnia. Wiele najlepszych dań powstaje z resztek – *Semmelknödel* (poniżej) robi się z czerstwego pieczywa.



FOT. SMOKE ARTISAN

SMAKI STOKÓW

Okolice Turracher Höhe mają też niespodzianki innego rodzaju. To ukryte pomiędzy stokami karczmy, serwujące lokalne przysmaki. Od razu spodobał mi się pomysł safari smaków – czyli zjeżdżania z gospody do gospody, z przystankami na próbowanie specjałów z okolicy. Tras w ośrodku jest ponad 40 km, więc okazji do degustacji będzie sporo.

Znakiem rozpoznawczym Styrii jest *Kürbiskernöl* – olej z pestek dyni. Aksamitny,

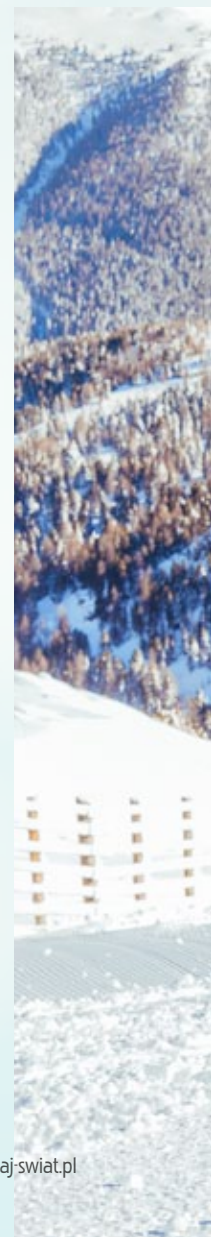


FOT. WOLFGANG SCHARDT – GÖSTEREICH WERBUNG

ciemnozielony, o intensywnym, orzechowym smaku, pojawia się w sałatkach, pieczeniach i zupach. Wytwarza się go od początku XVIII w. według tradycyjnej metody. Pestki po wyjęciu, umyciu i wysuszeniu roznia ta się na pastę, którą praży się na wolnym ogniu, a następnie wyciska w specjalnej prasie.

Do wyprodukowania litra oleju potrzeba około 2,5 kg pestek, a taką ilość pozyskuje się aż z 30 dyń.

Na stoku można posilić się czymś konkretniejszym. Są klasyki: *Semmelknödel*, czyli knedle z pokrojonej w kostkę czerstwej bułki i *Schweinsbraten*, pieczeń wieprzowa. Ale smakosze bardziej wyrafinowanych dań również znajdą coś dla siebie – świeże pstrągi, dziczyznę, wołowinę z ekologicznych gospodarstw. Aromatyczny boczek z doliny Gurktal nie ma sobie równych. W okolicznych schroniskach nie może też zabraknąć karynckich pierożków z ciasta makaronowego. *Kasnudeln*, ręcznie sklepane przez przyszcypywanie palcami, zawierają mieszankę twarożku i ziemniaków, z dodatkiem mięty lub trybulki. Mniejsze *Schlupfkrapfen* nadsiewa się mięsem lub szpinakiem. Są też osobliwości, na przykład *Heusuppe*, czyli zupa z... siana. A właściwie z ziół z górskich łąk, które niepozornie wyglądającej, zielonkawej potrawie nadają zaskakująco bogaty smak. Na koniec obowiązkowo *Kaiserschmarrn* – najsłynniejszy austriacki deser obok tortu Sachera. Jego nazwa oznacza cesarski omlet, bo podobno bardzo smakował cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Ciasto z mąki, mleka, jajek i cukru smaży się na złoty kolor i kroi na małe kawałki, a całość posypuje cukrem pudrem i rodzynkami. Pycha!



POWRÓT DO DZIECIŃSTWA

Kaiserschmarrn przywołuje mi na myśl smaki dzieciństwa. W okolicy okazji do takich wspomnień jest więcej. Czuję, jak ubywa mi lat, kiedy trafiam do rodzinnego kurortu Heidi-Alm w masywie Falkert. Kompleks, przystosowany dla najmłodszych, wykorzystuje motywy ze słynnej powieści dla dzieci „Heidi”, której akcja toczy się w Alpach. Można tu odwiedzić domek bohaterki i uczyć się jazdy na nartach wśród postaci z książki. I choć oryginalna Heidi mieszkała w Szwajcarii, to tutaj na pewno by jej się spodobało. Łagodne trasy zjazdowe, przyjazne wyciągi, tor do zjeżdżania na oponach – to coś dla mnie! Całkowite odprężenie i mnóstwo dobrej zabawy.

Nadchodzi wieczór. Jestem z powrotem w Turracher Höhe. Pozostając w duchu dzieciństwa, wybieram się na nocny zjazd sankami. Wjeżdżamy wyciągiem krzeselkowym, najpierw pasażerowie, za nimi ich sanki. Pod stopami przesuwały się ośnieżone stożki drzew, w oddali migoczą światła miasteczka, przycupniętego nad białym lustrem jeziora. Schodzimy na ziemię, do zjazdu, gotowi, start! Za dnia to trasa narciarska, nocą władzę przejmują amatorzy sanek. Tu umiejętności potrzeba zdecydowanie mniej, a właściwie jedną – skutecznego hamowania! Śmiechy, piski, wywrotki prosto w zaspę. Niby nic, a tyle frajdy! Czuję się jak dziecko. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek może tu być piękniej. Obiecuję sobie przyjechać sprawdzić to latem. ○



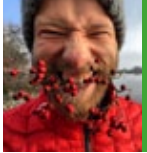
Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliźszych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



BUTLER

Czyli stylowo ubrany przewodnik, który pokaże okolice i doda nartom odrobiny luksusu.



FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

JAK WYCHOWAĆ SOBIE OUTDOOROWEGO PSA?

Kiedy podróżowałem z moją żoną Asią po Patagonii, zachwycaliśmy się nie tylko widokami, ale także psami. Choć większość z nich to zwykłe kundle, każdy z innej parafii, to jednak wszystkie miały wspólną cechę: były kudłate. Czy leżały, stały, czy truchtały, patagoński wiatr tarosił im te kudły na wszystkie strony. Kiedy na kilka dni utknęliśmy w Villa O'Higgins, malutkim miasteczku na końcu chilijskiej Carretera Austral, gapiliśmy się na nie i co rusz wzdychaliśmy.

Wkońcu stwierdziliśmy, że nadszedł czas na psa, o którym od dawna marzyliśmy. Ale nie chcieliśmy żadnego leniwego kanapowca, parówki ledwo odstającej od gruntu albo chucherka mieszczącego się do torebki. Chcieliśmy psa z prawdziwego zdarzenia, dzikusa uwielbiającego outdoor. Tak żebyśmy mogli go zabierać ze sobą w podróż.

Po powrocie do Polski wzięliśmy szczeniaka ze schroniska. Czarno-szarą kulkę z wielkimi oczami i wilgotnym, czarnym noskiem. Był tak mały, że mieścił się w pudełku po owocach (które to pudełko zjadł, gdy podrósł). Na cześć burków z Chile nazwaliśmy go Patagon i zaczęliśmy wszędzie ze sobą ciągać.

Najpierw oswajaliśmy go z samochodem. Na początku był tak mały, że jeździł w nogach, pod siedzeniem pasażera. Mieścił się na wycieraczkę i czasami na nią wymiotował. Okazało się, że tak jak mój syn i żona, ma chorobę lokomocyjną. Szybko zorientowaliśmy się, że wystarczy nie dawać mu jedzenia przed podróżą, a zniesie ją bez problemu. Od kiedy to odkryliśmy, wskakuje do auta, kładzie się na kanapie i zasypia. Zniósł tak nawet dziesięciogodzinną podróż na Słowenię. Teraz ma już ponad rok i jest wielkim kłosem, zwanym też „koniem”, więc zamiast pod nogami leży na tylnej kanapie. Żeby był bezpieczny, kupiliśmy mu szelki, które nie pozwolą mu wylecieć przez okno w przypadku zderzenia. Jedyne problemy, jakie nadal mamy, to jazda z Patagonem w korkach. Ze względu na to, że odbywa się to w rytmie start-stop, nawet gdy nie damy mu nic do jedzenia przed podróżą, i tak zwykle kończy się wymiotami. Tutaj chyba mogą pomóc tylko tabletki na mdłości, ale jeszcze ich nie testowaliśmy.

Drugim krokiem była komunikacja miejska. O ile auto było łatwe – mieliśmy pełną kontrolę nad prędkością, przystankami i pasażerami, o tyle w komunikacji byliśmy tego pozbawieni. Do tego dochodziły jeszcze zapachy – tysiące ludzi to tysiące zapachów. Ale zaczęliśmy szybko i zrobiliśmy sobie wycieczkę autobusem. Okazało się, że największą przeszkodą wcale nie były dla niego zapachy ani tłok, ale... wskoczenie do środka. Ponieważ był maluchem, stopień, nawet w niskopodłogowym autobusie, był dla niego wysoki,

i bał się skoczyć. Ale trochę pomocy z naszej strony i kilka smaczków rozwiązało problem. W ogóle smaczki to jest klucz w wychowywaniu psa. Musi wiedzieć, co robi dobrze, a przysmaki dobrze mu to utrwalają. Podobny schemat odbył się z metrem i pociągami, a ten ostatni Patagon ceni sobie najbardziej, bo pociąg rzadko się zatrzymuje, dzięki czemu nie powoduje u niego mdłości. Ostatnio przez prawie sześć godzin wracaliśmy PKP z Beskidu Żywieckiego i Patagon przeleżał całą drogę pod fotelem. Spał jak dziecko.

Jedynym środkiem transportu, którym się nie zajęliśmy, był samolot. Przegapiliśmy to, że psa do pewnych, niewielkich rozmiarów można brać do kabiny bez dodatkowych opłat. Teraz już jest za późno, bo Patol z małej kuleczki urósł do rozmiarów „konia” ważącego ponad 30 kg. Na razie podróżujemy za granicę na zbyt krótko, żeby męczyć go uśpianiem i przewożeniem w luku bagażowym, więc na te krótkie wypadki zostawiamy go u rodziców lub znajomych. Ale jeśli tylko nadarzy się okazja przynajmniej jednodniowej podróży, spróbujemy go wziąć ze sobą.

Kiedy już opanowaliśmy środki transportu, przyszedł czas na outdoor. Zabieraliśmy go ze sobą wszędzie: nad rzekę, do łąki, na bagna, do lasu, w góry, na łąki i plaże, pływał ze mną na SUP-ie (rodzaj deski do pływania z wiosłem) po jeziorach i w packrafcie (rodzaj pontonu) u wybrzeży Chorwacji. Był absolutnie wszędzie, gdzie my byliśmy i mogliśmy go zabrać. Nie było z nim żadnego kłopotu, bo uwielbia być w terenie, to jest po prostu pies outdoorowy. Ale żeby nad nim panować, zapisaliśmy się do tzw. psiego przedszkola, w którym szkoliliśmy się razem z komend i wzajemnego zrozumienia. Właściwie od tej szkoły powinienem zacząć ten tekst, bo bez niej niczego byśmy nie osiągnęli.

Ostatnim etapem był nocleg pod namiotem. Obawiałem się wielu rzeczy: czy nie ucieknie, czy nie będzie ujadał godzinami albo czy nie zniszczy mi namiotu. Pojechałem z nim do lasu pod Warszawą i zostaliśmy tam na jedną noc. Pozwoliłem mu się wybiegać, wytaplać w błocie i wykąpać w stawie, generalnie: hulaj dusza. Całość wspierałem smakołykami. Żeby mieć pewność, że nie rozedrze mi namiotu, wziąłem ze sobą taki model,

który mogłem rozwiesić kilka metrów nad gruntem, pomiędzy drzewami. Nie wiedziałem tylko, co zrobić z Patagonem na noc – przywiązać do drzewa czy puścić wolno? Problem był poważny nie tylko z powodu obaw, czy nie zwieje, jak się czegoś przestraszy, ale także dlatego, że pod Warszawą mamy wilki. Jeśli te wyczują psa na swoim terenie, mogą podejść i zabić. W takiej sytuacji pies na uwięzi nie ma szans, zostaje z niego kaganiec i trochę sierści. Dlatego, chociaż nie było to najlepsze rozwiązanie, zostawiłem Patagona luzem. Nie powiem, że bym wyspał się tej nocy. Patolski, przestraszony nieznanymi mi odgłosami lasu, kilka razy szczełakał tak, że obudziłby martwego. Koniec końców jednak opłaciło się, bo ośwoiłem go

z nocowaniem w lesie, nie uciekł i nic mu się nie stało. Kiedy latem pojechaliśmy do Słowenii, gdzie spaliśmy także pod namiotem, nie mieliśmy z Patagonem żadnych problemów.

Dzisiaj, dzięki naszej amatorskiej psiej szkole, możemy go zabrać wszędzie. Na imprezę, do kawiarni i w teren. Zachowuje się jak rodzony outdoorowy pies. Jak na Patagona przystało! 🍀

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI

Justyna Dzik-Wykrętowicz

Stoisz w kolejce do okienka imigracyjnego. Podwieszono pod sufitem kamery są wycelowane w stronę tłumu turystów. Jedna z nich zerwała się ze statywu i teraz swobodnie dynda na kablu. *Tidak apa apa* – nic nie szkodzi. Jesteśmy przecież w Indonezji.





SESJA W KLATCE

Pałac i ogrody sułtańskie poważnie ucierpiały w wyniku trzęsienia ziemi w 1867 r. Dziś jednym z najczęściej fotografowanych przez lokalnych turystów miejsc jest ocalała klatka schodowa w tzw. Podziemnym Meczece.



YOGYAKARTA ZAWSZE WYJĄTKOWA

Tak głośno napisano na ścianie i takie jest też przekonanie mieszkańców miasta.

Jeśli usiądziesz tuż za krótkim pasem startowym lotniska, możesz obserwować schodzące do lądowania samoloty. Oraz te, które tłoczą się w kolejce do zejścia na ziemię. Ci szczęśliwi pasażerowie, którzy mają okazję siedzieć przy oknie, przyklejają pewnie twarze do lufcików i szukają na horyzoncie najaktywniejszego wulkanu w Indonezji – Merapi, odpowiedzialnego za to, że tutejsze gleby są najżyźniejszymi na Ziemi.

NA MIEJSKIEJ POLANIE

Nikt z pasażerów siedzących w tych kręcących ósemki nad miastem samolotach nie powinien wierzyć w zapewnienia, że opóźnienie wyniesie tylko 20 minut. Yogyakarta, kulturalna stolica Jawy, z roku na rok gości coraz więcej turystów. Wielu z nich przybywa tu drogą powietrzną i korzysta z obecnie już niewydolnego, niewielkiego byłego lotniska wojskowego. Te niekończące się kolejki to dobry przedsmak dla dalszej podróży. W Yogyakarta nie należy



się nigdzie spieszyć. Tutaj życie płynie dużo wolniej niż w innych wielkich miastach najczęściej zaludnionej wyspy na świecie. Nawet tutejsza muzyka gamelanowa, wygrywana na instrumentach perkusyjnych, wydaje się bardziej leniwa niż ta słyszana na Bali.

Turyści wpadają tu zwykle po to, by zobaczyć dwie średniowieczne świątynie – hinduistyczną Prambanan i Borobudur z Buddą skrywanym się w 72 kamiennych dzwonach, która pozwoliła Yogyakarcie wybić się na

drugie, po Bali, najczęściej odwiedzane miejsce w Indonezji. Po ich zobaczeniu turyści z Zachodu wyjeżdżają. Bo czy można oczekiwać wielkich rzeczy po mieście, którego główny plac jest niewykoszoną polaną?

Do spacerów nad rzeką skutecznie zniechęcają wszechobecne śmieci (choć tych i tak jest już znacznie mniej niż jeszcze 7 lat temu). Przejście po chodnikach wiąże się ze slalomem między przeszkodami i wspinaniem na ogromne krawężniki. Po zatłoczonych ulicach niezależnie od środka lokomocji przemieszczasz się nie szybciej niż 40 km/h. Na skrzyżowaniach, na których akurat pali się czerwone światło, skutery walczą o *pole position*. Umieszczony przy sygnalizatorze wyświetlacz odlicza sekundy do zielonego, a kierowcy, jak gracze *Need for Speed*, ustawiają się do startu. Trzeba mieć oczy dookoła głowy. Skuter może spaść tutaj nawet z nieba.

Jeden z głównych placów Yogyakarty to faktycznie najprawdziwsza polana. Porośnięta trawą przestrzeń w centrum starego miasta jest nazywana Alun Alun Kidul. Miejscowi zaczynają się tu schodzić pod wieczór, by puszczać latawce, które wraz z bańkami mydlanymi wypełniają niebo.

Prawdziwe show zaczyna się po zmroku. Na plac wkracza głośny dangdut, czyli lokalna, kiepska muzyka taneczna. Na otaczające polanę uliczki niegdyś wyjeżdżały oblepione diodami rowery, a dziś garbusey, które spokojnie wymijają napływające tłumy. A jeśli nie jesteś fanem wolnego objazdu po mieście, to może kolorowa ara? Za niewielką opłatą papuga

wzbije się w powietrze i pomknie z zawrotną prędkością, tuż nad głowami dzieci i rodziców.

Na samym środku placu nie da się przeoczyć dwóch ogromnych drzew. To najlepsze wróżbiarskie instrumentum w okolicy. Legenda głosi, że jeśli ruszysz z końca placu i uda ci się z zamkniętymi oczami przejść dokładnie pomiędzy nimi, spełni się twoje marzenie. Ludzie spacerują jak ociemniały, a biznes się kręci. Wokół są rozstawione wypożyczalnie czarnych opasek na oczy.



FOT. JUSTYNA DZIKWIĘTOWICZ

WOLNY GAMELAN

Orkiestra gamelanowa na jawajskim weselu. W zależności od wyspy utwory gamelanowe różnią się tempem i nastrojem. W Yogyakartaie są znacznie wolniejsze niż na Bali.



FOT. JUSTYNA DZIKWIĘTOWICZ

WARIA W WIELU WARIANTACH

Waria, czyli indonezyjskie drag queen. Postawne wzorują się na największych diwach soulu. Te drobne celują w nowoczesny repertuar.



FOT. JUSTYNA DZIK-WYRĘTOWICZ

DOBRY KLIMAT DLA SZTUKI

Andres jest artystą street artu, znanym w świecie jako Anagard. Wysoki jak na Indonezyjczyka i niewiarygodnie szczupły, ma ogromną słabość do kolorowych butów – im bardziej pstrokaty, tym lepiej. Mimo że ma już prawie 40 lat, wciąż wygląda na mniej niż 30. Jak wszyscy Indonezyjczycy uwielbia soczyste barwy i to właśnie one są znakiem firmowym jego murali. Malowane przez niego postacie, uzbrojone raz w kałasznikowy, a raz w naręczny baloników, zwieńczone twarzami zwierząt, można znaleźć w całej Yogyakarcie. W ubiegłym roku malował twarze świń, ale ten rok według chińskiego kalendarza należy do psa. Pora więc na zmianę szat.

Dom Andresa jest położony tam, gdzie Yogyakarta z miasta płynnie przechodzi w wieś. Każdy dzień artysta zaczyna od dokładnego zamiecenia całego mieszkania. Z ogromną cierpliwością przestawia moje porzucane po całej kuchni rzeczy. Upycha kosmetyczkę w kredensie, żeby nie kusiła dzikich zwierząt do wtargnięcia

w poszukiwaniu jedzenia. Rytuał powtarza każdego dnia. W tym kraju wszystko żyje i jest w ciągłym ruchu. Przyroda tylko czeka, abyś przez chwilę zaniedbał swoje obowiązki. Chce wrócić tam, gdzie z tak wielkim trudem człowiekowi udało się jej wydrzeć kawałek przestrzeni i zagospodarować dla swoich potrzeb. Podobnie jest tutaj ze sztuką, która w Yogyakarcie pleni się równie skutecznie jak mech. Ma tutaj doskonałe warunki do życia.

Miasto należy do artystów, których przy ciągła swobodna atmosfera, ale także najlepsza w kraju akademia sztuk pięknych. Nie bez znaczenia mogą być też niskie ceny. To doskonałe miejsce, jeśli chcesz nadrobić zaległości w teatrze, poznać tajniki wyrabiania batików albo spędzić dobrych pięć godzin życia na przedstawieniu teatru marionetek. Wystarczy też zaledwie krótki spacer po ciasnych bocznych uliczkach, aby natknąć się na dziesiątki politycznie zaangażowanych murali.

W Yogyakarcie przyozdabianie ścian muralami i graffiti jest często mile widziane

BUDDA Z BOROBUDUR

W każdej z 72 stup świątyni Borobudur jest ukryty posąg Buddy. Miejscowi wierzą, że ich dotknięcie przynosi szczęście.



NAJPIERW POKAZ

Teatr jawajski na tradycyjnym weselu. Ceremoniał trwa 2–3 godziny, w czasie których nowożeńcy w oficjalnych, sztywnych pozach oglądają pokazy tańców i śpiewu, a na końcu odbierają od gości życzenia.

przez właścicieli budynków. Czasem nawet za to płacą. Sztuka ulicy jest nieodłącznym elementem życia miejscowych wspólnot. Grafitti też w niczym nie przypominają bazgrołów osiedlowych artystów, jakie w Polsce można znaleźć na każdej niedopilnowanej ścianie. Kiedy odwiedzamy Andresa w styczniu, akurat zajmuje się malowaniem miejscowego domu spotkań osób głuchoniemych.

LIFE IS A CABARET!

Kabaretowa scena Yogyakarty ma coś, czego nie ma w żadnym innym miejscu na Jawie. Kabaret Ramintena, występujący w każdy weekend w centrum handlowym Mirota Batik.

Show, jak niewiele rzeczy w Yogyakarcie, zaczyna się punktualnie. Na scenie pojawiają się trzy tancerki w tradycyjnych jawajskich strojach. W takt gamelanu wykonują skomplikowany i pełen finezji układ. Nienaturalne ruchy palców, przypominające skurcze, widać nawet z ostatniego rzędu widzów.

Potem światła gasną i na scenę wypadają przystrojone w pióra dziewczęta. Tradycyjny gamelan zmienia się w rytmiczną piosenkę i już wszyscy wiedzą, że ten wieczór to rozrywka w czystej postaci. Ale nie o tych tancerzy tutaj chodzi. Dopiero na końcu na deski wchodzi ona. *Waria*, czyli indonezyjskie drag queen.

Dziewczyny są wystrojone w piękne piórka i tańczą, jakby jutro nie było, udając przy tym, że śpiewają największe światowe i indonezyjskie przeboje. Kiedy naśladują gwiazdy z Dżakarty, cała sala ryczy ze śmiechu. A gdy śpiewają „I believe I can fly” wszyscy *bule* (biali cudzoziemcy) zdzierają gardła.

Jedne postawne jak Shaquille O’Neal, wzorują się na największych diwach soulu. Te drobne celują w nowoczesny repertuar i potrafią zakończyć układ taneczny w pełnym szpagacie. Sztucznym cyckom i tyłkom nie ma tutaj końca. Beyoncé, Rihanna i Kate Perry na jednej scenie. Takie show można zobaczyć tylko w Yogyakarcie, dlatego na występie nie brakuje turystów z całej Jawy.



FOT. JUSTYNA DZIK-WYKRĘTOWICZ

Kabaret ten został założony przez jawajskiego artystę i biznesmena Ramzaha, który niegdyś również występował jako *waria*. Jego najbardziej znana postać, Raminten, firmuje obecnie kulinarno-rozrywkowe imperium. Mirota Batik jest wypełnione po brzegi pamiątkami z jej podobizną, jak figurka kobiety w kanciastych okularach z zaciętym wyrazem twarzy wznosząca pochodnię niczym Statua Wolności.

Jej podobiznę znajdziecie też na drugim końcu miasta, gdzie stoi drugi okręt flagowy Ramzaha. Niezwykle popularna, tradycyjna jawajska restauracja House of Raminten została założona w jego domu. Z sali restauracyjnej można przejść bezpośrednio do prywatnych pokoi, a jedząc stylizowane na papuaską tutkę *ayam koteka* – zaglądać do domowej świątyni. Trudno powiedzieć, jakiej religii jest ona poświęcona, bo w restauracji znajdziecie figury Jezusa sąsiadujące z hinduistycznymi ofiarami i wersetami Koranu. Jeśli pojawisz się tu odpowiednio wcześniej rano, będziesz mieć okazję

uczestniczyć w pokazie jawajskiego tańca, wykonywanym osobiście przez Raminten.

Przechadzających się pomiędzy stolikami kelnerów nie słychać. Ubrani w tradycyjne sarongi, na bosaka dreptają po parterze i pierwszym piętrze budynku. Jednego z nich pytam o drogę do łazienki. Idąc we wskazane miejsce, przecieram oczy ze zdumienia. W drodze do zlewu minęłam cztery konie, spokojnie przeżywające swój obiad w boksach ustawionych na tylnym dziedzińcu. Obok nich obsługa restauracji myła naczynia.

Konina bynajmniej nie stanowi tutaj pozycji w menu. Po prostu część imperium Raminten obejmuje też transport dorożkami. Do niedawna w karcie dań znajdowała się jednak inna niecodzienna pozycja. Dostępny tylko dla panów aperitif – masaż wykonywany przez mężczyznę. Ale za to wciąż możesz wskoczyć do stojącej na środku sali wanny z hydromasażem. To miejsce jest esencją indonezyjskiej dewizy *Bhinneka Tunggal Ika*: Jedność w różnorodności. ○

PŁODNE POLE

Ziemie w okolicach Yogyakarta należą do najżyźniejszych na świecie. Nawożone przez wulkaniczne popioły, dają plon trzy, a nawet cztery razy w roku.



Justyna Dzik-Wykrętowicz

Z zawodu prawnik, ale większość czasu poświęca pisaniu o podróżach, głównie na blogu „Z dala od biura”. Zwykle podróżuje rowerem, z dobytkiem rozmiaru sakwy. Miłością do Indonezji zaraziła się od męża Daniela.

FOT. SHUTTERSTOCK



Marta Legieć

NA FALI





Ziemia pod nogami
zdaje się poruszać. Każdy
kolejny krok stawiam niepewnie
na białej, czerwonej, a zaraz potem na czarnej fali.
W 1957 r. sześć i pół miliona niewielkich marmurowych płytek stało się symbolem
Alicante, a samą promenadę Explanada de España uznano za dzieło sztuki.

Kiedy zima daje mi się we znaki, uciekam tam, gdzie słońce smaga po twarzy ciepłymi promieniami. Pozytywnie nastrojające ciepło to jedno, brak lub względny brak tłumów – to drugie. Trzecim warunkiem jest możliwość szybkiego dotarcia do wybranego miejsca. Ryanair zasugerował mi Alicante i ten wybór okazał się

wyjątkowo celny. Trafiłam do miasta otoczonego palmowymi gajami, z którego centrum tylko dwa kroki dzieliły mnie od szerokiej, ciągnącej się po horyzont plaży. Do miasta, którego mieszkańcy lubią dobrze zjeść i się zabawić. W Hiszpanii mówi się, że są szczególnie wyluzowani i gościnni, a o tutejszym życiu nocnym krążą legendy.

OKNO NA ŚWIAT

Bywają dni, kiedy fale mocniej biją o brzeg, a morze huczy jak dzwon. Choć nie są groźne, można się przed nimi schronić wśród skał. W zatoce leżącej między El Cabo de las Huertas i przylądkiem Santa Pola, u podnóża Monte Benacantil, rozwinęło się dzisiejsze Alicante. Powoli zajmowało otaczające je żyzne pola, spoglądając z jednej strony na łagodne morze, z drugiej – na wzgórze chroniące przed najeźdźcami. Tereny te stanowiły bowiem łakomy kąsek dla wszelkiej maści agresorów. Przechodziły więc z rąk do rąk, raz rządzone przez Rzymian, nazywających miasto Lucentum, potem przez Maurów. Jedni i drudzy pozostawili tu sporo pamiątek w architekturze i miejskich krajobrazach.

Po raz kolejny miasto zmieniło się podczas wojny o sukcesję hiszpańską, która zmiotła z tutejszej przestrzeni historyczną

GRZYB WIZERUNKOWY

Ulicę San Francisco zdobia ogromne grzyby i ślimaki. To pomysł władz miejskich na poprawę wizerunku miejsca, które wcześniej cieszyło się złą sławą.



FOT. MARTA LEGEC



FOT. MARTA LEGEC

architekturę medyny. Natomiast XIX w. wywindował Alicante do miana stolicy prowincji, a chwilę później stało się ono pierwszym nadmorskim miastem połączonym z Madrytem koleją, głównym portem i oknem Hiszpanii na Morze Śródziemne. Na ulicach pojawiło się oświetlenie, a wyburzenie murów umożliwiło tworzenie się nowych dzielnic po stronie zachodniej i na północy.

Rewolucyjne okazało się uruchomienie tramwaju elektrycznego, dzięki któremu szansę na rozwój otrzymał port. Jednak ostatecznie to wyznaczenie miejskich szlaków zaowocowało profesjonalną turystyką, która uczyniła Alicante tym, czym jest dzisiaj.

PŁYNAĆCA POSADZKA

Palmy, wszędzie palmy. I wędrujący wolno ludzie, stąpający po miniaturowych płytkach Explanada de España. Zastanawiam się, jak długo trzeba liczyć maleńkie kafelki wyłożone



FOT. MARTA LEGIEC

na szerokiej, 500-metrowej promenadzie, by doliczyć się ich wszystkich. Jest ich ponoć 6,5 miliona. Może więcej?

W 1957 r. biegnący równolegle do portu trakt wyłożono czerwonymi, czarnymi i białymi płytkami. Wytyczono go w miejscu dawnego średniowiecznego muru, który przez wieki chronił Alicante przed grasującymi w okolicy piratami. Mur zburzono jeszcze w 1830 r., kiedy trzeba było trochę uporządkować zabudowę. Podczas wyrównywania terenu doku załadunkowego odkryto tuż obok portu nieużywany plac. Przestrzeń okazała się idealna do stworzenia miejsca wytchnienia dla mieszkańców.

Dziś Explanada de España jest wolna od piratów, usiana kawiarniami, lodziarniami, restauracjami i straganami z rękodziełem. Można się tu natknąć na bezpłatny koncert albo na kogoś, kto będzie chciał porozmawiać o polityce czy religii.

WIDOK Z UCHA

W sieci ciasnych uliczek starego rynku można się zagubić, jednak nie na tyle, by nie móc wyjść z tego labiryntu. Spacer ten to miła ucieczka od gwaru miasta. Widok kolorowych fasad domów i pelargonii w oknach wycisza i przynosi ukojenie. Warto iść dalej, przez Plaza del Carmen i Plaza de Quijano do zamku Santa Barbara, niemego świadka wszystkiego, co działo się przez wieki. Budowę jednej z największych fortec w Europie datuje się na IX w., kiedy panowali tu Maurowie. Mówili na to miejsce Banu-lQatil, co z języka arabskiego oznacza małżowinę uszną. Kształt wzgórze przypominał im bowiem ludzką twarz z profilu. Zresztą do dziś wzgórze bywa nazywane *la cara del moro*, czyli twarzą Maura. Nazwę zamku zmienił Alfons X, którego wojska kastyljskie w 1296 r. zdobyły twierdzę. Stało się to w dniu św. Barbary, stąd dzisiejsze miano tego miejsca.

FALUJĄCA ZIEMIA

Explanada de España jest symbolem miasta i jednym z najbardziej popularnych bulwarów w Hiszpanii. Marmurowa mozaika to ponad 6 mln miniaturowych kostek.



BARBARA PONAD MIASTEM

Nad Alicante góruje średniowieczna twierdza – zamek Świętej Barbary.

Zamek, wielokrotnie niszczony i plądrowany przez kolejne stulecia, przetrwał i stał się ostatecznie symbolem Alicante i jego najbardziej popularną atrakcją turystyczną. Jeśli wjedziecie tu windą czy samochodem lub wdrapiecie się pieszo, przekonacie się, że to też wspaniały punkt widokowy, serwujący wyjątkowe zachody słońca. Z wysokości 166 m n.p.m. zobaczycie jak na dłoni miasto i całą zatokę.

SPACER MIĘDZY GRZYBAMI

Ulicami calle de Toledo lub San Roque dotrzecie do Plaza Santa María, gdzie znajduje się bodaj najciekawsze muzeum miasta – Museo de Arte Contemporáneo de Alicante. Pochochający z 1685 r. budynek, zbudowany pierwotnie jako spichlerz, służył również jako magazyn żywności, więzienie miejskie, magazyn

broni, był też tymczasową siedzibą władz miejskich. Dziś na ścianach wiszą tu Picasso, Kandinsky, Dalí, Chagall, Tàpies czy Serrano.

Tutejszym *must see* jest też bazylika Santa María, najstarszy kościół w Alicante. Wzniesiony w XIII w. na miejscu meczetu, po pożarze w XV w. musiał zostać przebudowany, dzięki czemu zyskał całkowicie barokową fasadę.

Kiedy uznacie, że czas na relaks, wstąpcie na calle de San Agustín, prowadzącą do parque de Quijano, jednego z najstarszych w mieście. Idealne miejsce na odpoczynek znajdziecie tuż przy niewielkim stawie z kamiennymi żabami, przy którym uwielbiają fotografować się zakochane pary. Albo przy małym domku, będącym do niedawna biblioteką.

Jestem przekonana, że każdego, jak mnie, zaskoczy calle San Francisco, zwana tu ulicą grzybów. Bo jak inaczej może nazywać się miejsce udekorowane ogromnymi



FOT. MARTA LEGEC

muchomorami i ślimakami? Wygląda zabawnie, trochę jak droga z „Alicji w Krainie Czarów”, a trochę jak wielki plac zabaw. Jednak bary i restauracje działają tu całkiem na serio.

Z Explanada de España jest tylko krok, a precyzyjniej – zaledwie przejście na drugą stronę ulicy, od wejścia do portu, w którym lekka fala buja śnieżnobiałe jachty. Często można tu zobaczyć duże statki wycieczkowe sunące w stronę Włoch i Grecji. Wysypują się z nich jednodniowi turyści chcący choć na chwilę pozachwycać się miastem. W tym samym czasie miejscowa młodzież wsiada na promy łączące Alicante z Ibizą.

Kto nie wyjechał, bawi się w umiejscowionych obok portu dyskotekach i pubach. Albo w kasynie, patrzącym wprost na majestatycznym zamek Santa Bárbara. Tu można wygrać albo przegrać życie. Jednak ponieważ nie jestem ryzykantką, zamiast poszukiwać skarbów w kasynie, zdecydowałam się zostać odkrywcą tutejszej plaży. Przejście na nią z portu nie wymaga większego wysiłku, to zaledwie kilkaset metrów.

Stąpienie po złotym piasku rozsypanym po Postiguet przynosi ukojenie. To jedna

MAŁA CZYSTA

Promenada przy małej, czystej i pięknie położonej plaży Postiguet w centrum miasta.



FOT. MARTA LEGEC



z najbardziej znanych plaż w Alicante. Otoczona palmami i zamknięta szeroką promenadą, jest wspaniałym miejscem do wypoczynku, biegania, jazdy na rowerze i rolkach. Można tu też poleniuchować bez wystawiania się na słońce. Urocze kawiarenki zapraszają na lunch, drinka czy lody.

Z Postiguet konkuruje San Juan, oferując niemal 3 km złotego piasku. To kolejna popularna plaża, na którą zjeżdżają tłumy. Szeroka na 85 m, pozwala mieć nadzieję, że miejsce na wygrzewanie się na słońcu znajdzie każdy. Jeśli nie, trzeba jechać na północny wschód od Alicante. Za ledwie 10 minut od centrum, pomiędzy Sierra Grossa i Tossal de Manises, w obszarze z ważnymi stanowiskami archeologicznymi leży odcięta przez dwa

klify plaża Albufereta. Na skrawku obsadzonym palmami i kaktusami można szukać początków miasta.

OJCZYŻNA PAELLI

Alicante wie, czym jest dobra zabawa. Stare miasto jest pełne pubów, kawiarni i barów, które ożywają późną nocą. Latem port i nadmorska promenada zamieniają się w centrum nocnego życia. Tu się nie tylko pije, ale przede wszystkim je.

Kuchnia jest bez wątpienia jedną ze znaczących atrakcji turystycznych Alicante. Zrozumiecie to, jeśli tylko zapytacie miejscową gospodynię, ile zna przepisów na przygotowanie ryżu, będącego podstawowym składnikiem



FOT. MARTA LEGIEĆ

tutejszych regionalnych potraw. Więcej niż rok ma dni, to pewne.

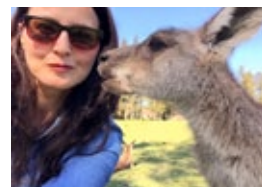
Ryż miesza się z warzywami, mięsem i rybami. Jada się go na śniadanie, na obiad i na kolację. Robi się z niego dania wytrawne i słodkie. Jeśli chcecie spróbować czegoś wybitnego, zamówcie w restauracji *arroz a banda* (ryż z rybami), *arroz negro* („czarny ryż” z mątwą) lub *arroz al horno* (pieczony ryż). I nie zapominajcie, że to w Alicante powstała paella, która rozślawiła hiszpańską kuchnię na cały świat. Znam kilka osób, które wybrały się w podróż wyłącznie po ten smak, by pozwolić sobie na luksus spożywania paelli z widokiem na morze. Wcale im się nie dziwię.

Przy okazji jedzenia paelli nie zapomnijcie spróbować *socarrata*, chrupiącego ryżu,

który przywiera do dna patelni podczas gotowania potrawy. Miejscowi przekonują, że jest wybitny.

Ryż to nie wszystko, przecież jest jeszcze deser. Nic nie przebije smaku *pan de higo*, czyli pasty z suszonych fig. Sięgnijcie też po słodki, zrobiony z prażonych migdałów, miodu i cukru *turron*, który przypomina nieco nugat.

Każdego dania z osobna albo wszystkich naraz można spróbować na jednym z miejscowych marketów. Od lat spotykają się na nich kupcy, sprzedający świeże lokalne produkty, oraz mieszkańcy miasta. Co więcej, w ostatnim czasie markety stały się atrakcjami turystycznymi, idealnymi miejscami do poznania tutejszej gastronomii. A poznać ją zdecydowanie warto, podobnie jak samo Alicante. ○



Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.

Dominika jest górzystą wyspą pochodzenia wulkanicznego, porośniętą w większości przez las równikowy. Wejście na najwyższy szczyt Morne Diablotins (1447 m n.p.m.) to bardzo popularny trekking.

Robert Gondek
**WYPAD
NA KARAIBY**

Karaiby kojarzą się z egzotyką i miejscem bardzo odległym. Jednak dzisiaj to zaledwie kilkanaście godzin lotu. Warto je zatem odwiedzić, choćby na krótko.



Na Karaibach możemy nurkować i podziwiać podwodny świat, a także podglądać delfiny i wieloryby podczas rejsów. A nawet zwykła kąpiel i plażowanie wzbudzi ciekawość mewy królewskiej.

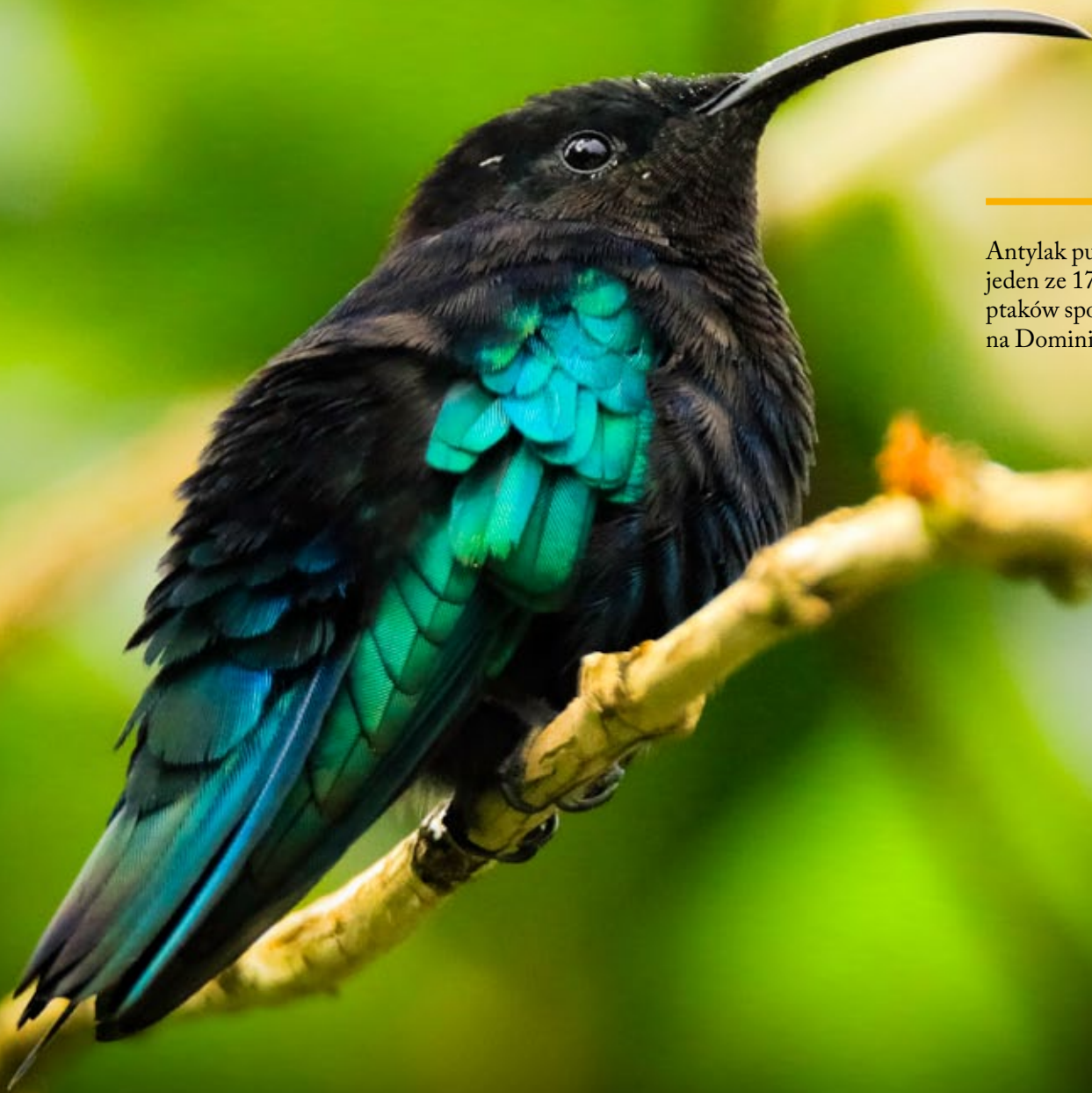


Scotts Head to popularne miejsce do snorkelingu i nurkowania u wybrzeży Dominiki. Niedaleko od brzegu dno gwałtownie opada. Głębokość wody sięga tam kilkudziesięciu metrów.





Relaks pod palmami
na gwadelupskiej wyspie
Grande-Terre.

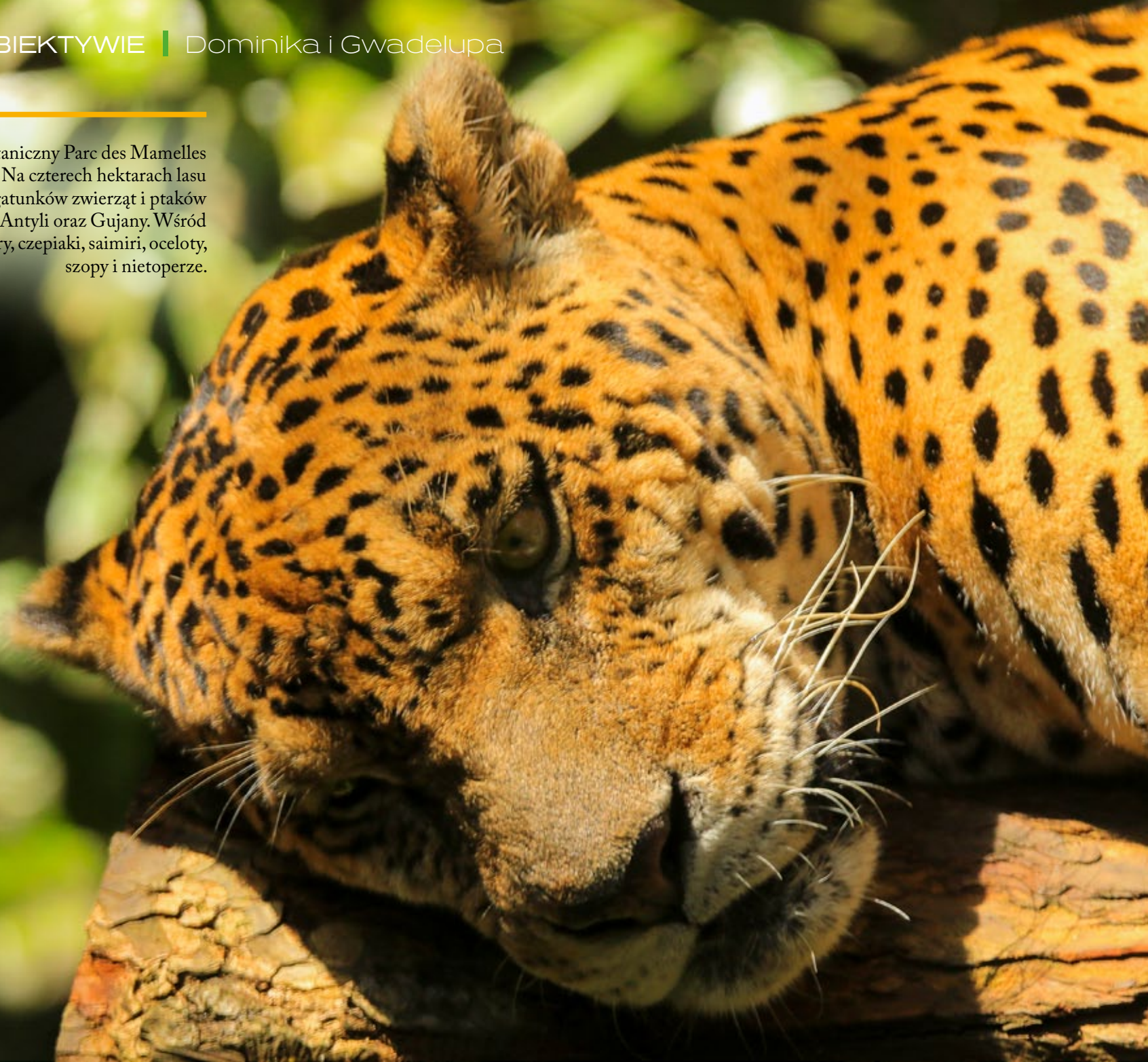


Antylak purpurowy –
jeden ze 176 gatunków
ptaków spotykanych
na Dominice.



Gwadelupa jest archipelagiem kilku wysp pochodzenia koralowego i wulkanicznego o dość zróżnicowanym krajobrazie. Ich powierzchnię w niemal 40 proc. pokrywa tropikalny las.

Zoo i ogród botaniczny Parc des Mamelles na Gwadelupie. Na czterech hektarach lasu umieszczono 85 gatunków zwierząt i ptaków pochodzących z Antyli oraz Gujany. Wśród nich są jaguary, czepiaki, saimiri, oceloty, szopy i nietoperze.



W lesie, mieście i na plaży spotyka się dziesiątki jaszczurek. Wygrzewają się w promieniach słonecznych – na kamieniach, krawężnikach, piachu, liściach i murach.



Sprzedawcy stawiają stoiska w pobliżu najpopularniejszych plaż. Świeże sorbety cytrynowe, kokosowe albo z marakui przynoszą ochłodę w upalne dni.



Stolicę Dominiki, Roseau, zamieszkuje 17 tys. osób. Miasto charakteryzuje się niską zabudową z kolorowych drewnianych budynków.



Robert Gondek

Podróżnik, fotograf, miłośnik Afryki. Autor wystaw i licznych pokazów podróżniczych. Prowadzi projekt „W drodze na najwyższe szczyty Afryki”, mający na celu zdobycie najwyższych szczytów w każdym afrykańskim kraju. Kolekcjonuje afrykańskie maski. Uczy się języka suahili.

www.szcztyafryki.pl

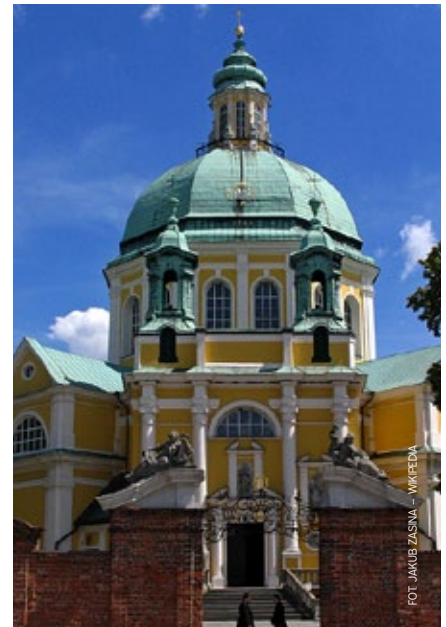
**MAURE
BEAUTY**
Specializing In:
Curls, Steamers, Treatments
Color, Styles, Relaxers
Tel # 440 1291

DYNASTY
RESTAURANT
& BAR
中華閣



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Anna Szczesna



NA KLASYCZNA I RADOSNA NUTĘ

Największa kopuła w Polsce. Bezcenna barokowa architektura. Podziemne krypty. Do tego polski Mozart i jego kompozycje, które dziś odkrywamy na nowo. Ale to nie wszystko. Tutejsze tropy zawiodą nas do Rzymu i Wenecji sprzed wieków, a także do jednej z niezwykle specyficznych wspólnot „zakonnych”. Gostyń to świetny dowód na to, że małe miejscowości potrafią skrywać wielkie skarby.

Nie składają żadnych ślubów ani przyrzeczeń. Nie mają też konkretnej reguły. To jednak nie zwalnia ich od życia w duchu rad ewangelicznych. Jak sami mówią, nie są zakonem w ścisłym znaczeniu, lecz stowarzyszeniem życia apostołskiego. Każdy ich dom cieszy się własną autonomią. Na jego czele stoi wybierany co trzy lata przez domową społeczność przełożony.

Ich duchowość cechuje pokora, miłosierdzie, modlitwa, radość i ubóstwo.

Zwłaszcza radość charakteryzuje atmosferę ich domów. Nic dziwnego, sam Filip Neri, ich patron, był zawsze pogodny i rozradowany. Bywał też oskarżany o nowinkarstwo, gdy w XVI-wiecznym Rzymie zaczął organizować wykłady o nowych prądach w sztuce, a także naukowe dysputy i koncerty muzyczne. W tym zresztą celu przy jednym z tamtejszych kościołów założył miejsce pod nazwą Oratorium. To właśnie od niego swoje miano ostatecznie przyjęła forma muzyczna, której był twórcą.

Jako kompozytor Filip Neri na stałe zapisał się w historii muzyki. Jako katolicki duchowny również był niezwykle postępowy. Ewangelizował poprzez kulturę: muzykę, sztukę, piękno. Do tego lubił dowcipkować. Wiernych zapraszał do kościoła nie tylko na modlitwę, ale też aby rozmawiać z nimi na różne tematy i... żartować. Jednocześnie bardzo wspierał ubogich, był przywiązany do prostoty i postulował otwartość Kościoła. Święty? Tak, i to dosłownie. W dodatku, po otrzymaniu stygmatów, założył nowe zgromadzenie – filipinów, zwanych oratorianami. Była to pierwsza na świecie katolicka formacja, w której nie było ślubów zakonnych. Rzecz jasna, tak samo jak jej założyciel, była dość nietypowa. Jest nadal, bo wciąż istnieje, także w Polsce.

Na Świętej Górze w wielkopolskim Głogówku koło Gostynia rozmachem zaskakuje zespół kościelno-klasztorny Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri. Jego główną część to wspaniały kościół, który został zbudowany na wzór bazyliki Santa Maria della Salute w Wenecji. Obie budowle zostały zaprojektowane na rzucie ośmioboku, otoczonego arkadami i kaplicami, zwieńczone kopułą.

Świątynię zaprojektował Baldassare Longhena, architekt weneckiego baroku. Na początku była tu tylko mała kapliczka. Z czasem, za sprawą uzdrowień i cudów, miejsce to stało się sławne. Coraz liczniej

przybywali pielgrzymi. Wśród nich była również, z prośbą o łaskę potomstwa, matka Adama Floriana Konarzewskiego, przyszłego fundatora tutejszego kościoła. To on sprowadził filipinów, w których posiadaniu Święta Góra pozostaje do dzisiaj.

Wyposażenie świątyni to przede wszystkim późnobarokowe ołtarze. W ołtarzu głównym widać przykuwa słynący cudami obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem z 1540 r. Powyżej znajduje się rokokowe, bogato zdobione tabernakulum z XVIII w. Niezwykle cenne jest także rokokowe wyposażenie zakrystii. Uwagę zwracają zdobione szafy, kielichy i monstrancje. Warto zajrzeć również do podziemi bazyliki. Znajdują się krypty z doczesnymi szczątkami fundatorów oraz członków kongregacji filipinów.

Świątogórski zespół kościelno-klasztorny należy do najcenniejszych zabytków sztuki barokowej w Polsce. W dodatku jego zasadniczą część, czyli wspomniany kościół, to pełny barok włoski w wydaniu weneckim. Przy zwiedzaniu takich wnętrz trzeba pamiętać o jednej bardzo ważnej zasadzie. Należy patrzeć nie tylko na to, co jest wokół nas, ale także na to, co znajduje się nad nami. W tym wypadku jest to kopuła bazyliki, największa w naszym kraju. Zaprojektował ją Pompeo Ferrari, architekt włoskiego baroku. Ma 17 m średnicy i 50 m wysokości. Do tego trzeba jeszcze doliczyć 10-metrową latarnię na szczycie, czyli cylinder z otworami doświetlającymi wnętrze, i kulę z krzyżem. Sklepienie kopuły jest pokryte freskami ze scenami z życia św. Filipa Neri.

Na cały zespół, obok bazyliki, składają się zabudowania klasztoru, ogrody i dawny szpital. Dziś mieści się tu także dom rekolekcyjny dla pielgrzymów. W niewielkim pomieszczeniu przy refektarzu umieszczono świątogórskie archiwum. Jego ściany zdobio polichromie z wyobrażeniami Sądu Ostatecznego. Znajdują się tu najstarsze dokumenty dotyczące sanktuarium, ale nie tylko. Ważna część archiwów na Świętej Górze to niezwykle cenne muzykalia – rękopisy lub odpisy dzieł wielkopolskich kompozytorów okresu klasycyzmu. Często są to ostatnie zachowane egzemplarze.

Najcenniejsze są zapisy nutowe utworów Józefa Zeidlera, muzyka przyklasztornej kapeli. Dziś jego dzieła są odkrywane



Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

Polub nasz FANPAGE :

www.facebook.com/StudentTrojmiasto/



POZNAJ ŚWIAT POLECA

na nowo, choć przez dziesiątki lat były zapomniane. Znamienną ciekawostką jest fakt, że Zeidler, tak samo jak Mozart, umarł w trakcie pisania requiem. Jednak nie dlatego jest on nazywany polskim Mozartem. Jak twierdzą specjaliści, jego kompozycje mają wszystkie cechy, które miała muzyka Mozarta. Z jednej strony są proste, z drugiej – bogate w wykorzystanie różnych środków muzycznych.

Muzyka Zeidlera z pewnością jest niezwyczajną i równie harmonijną, radosną oraz miłą dla ucha, jak muzyka Mozarta. Dzięki tym cechom z łatwością wpisuje się także w naukę św. Filipa Neri i filipińską tradycję muzyczną. Jest również bardzo lubiana przez publiczność. Od kilku lat we wrześniu i październiku odbywa się na Świętej

Górze Festiwal Muzyki Oratoryjnej „Musica Sacromontana”. Wtedy bazylika wypełnia się do ostatnich ławek. Święta Góra z pewnością nikogo nie rozczaruje, ale o tym lepiej przekonać się osobiście. ○

Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

Gotowi na zmiany

Dzięki dużym opadom śniegu w górach wypady na skitour czy zimowy trekking będą jeszcze pewnie możliwe do końca kwietnia. Ale w dolinach zdarzą się na pewno przebieżki wiosny. Na takie zmienne warunki trzeba się odpowiednio przygotować.

TERMOWIZJA CAT® S61

Pancerny smartfon idealny dla osób uprawiających sporty terenowe. Jest odporny na wibracje, pył i wodę (słońca i słodką) oraz na upadek na beton z wysokości 1,8 m. Urządzenie zostało wyposażone w kamerę termowizyjną (zakres temperatur od -20 do 400°C), laserową miarkę oraz czujnik jakości powietrza wewnątrz pomieszczenia. Telefon ma pojemną baterię, a jego ekran można obsługiwać mokrą dłonią lub w rękawicach. Cat® S61 jest objęty teraz wyjątkową 24-miesięczną gwarancją na darmową naprawę ekranu.

Cena: ok. 3600 zł
www.catphones.com



NAJWYŻSZA JAKOŚĆ CHIRUCA SOMIEDO

Model z linii Hiking przeznaczony do turystyki górskiej i w wymagający teren nizinny. Cholewka jest wykonana z hydrofobizowanego nubuku – szlachetnej odmiany skóry naturalnej, pokrytej charakterystyczną fakturą oraz z hydrofobizowanej cordury – bardzo wytrzymałej tkaniny syntetycznej. Impregnacja hydrofobowa zwiększa odporność na namakanie i zabrudzenie. Membrana Gore-Tex odpowiada za komfort stóp: jest wodoszczelna i umożliwia odparowanie potu. Kołnierze cholewki i miech języka są zrobione z cordury, która ułatwia dopasowanie buta do stopy. Nowatorska, dwuwarstwowa i dwukolorowa podeszwa NG Xtra z nowej generacji poliuretanu, odpornego na hydrolizę, zapewnia duży komfort i dobrą amortyzację przy odpowiedniej wytrzymałości i przyczepności do podłoża.

Cena: ok. 630 zł
chiruca.pl



W ZGODZIE Z NATURĄ CUMULUS INCREDILITE ENDURANCE

Etycznie pozyskiwany, hydrofobowy polski puch gęsi i wodoodporna tkanina Pertex® Quantum Pro to gwarancja ciepła i komfortu nawet w trudnych warunkach. Kurtka ma nowoczesny i przemyślany krój, dzięki czemu nawet przy pełnym zakresie ruchów nie podnosi się. Ma też elastyczne mankiety i regulację w biodrach, wewnętrzne siatkowe kieszenie, a także regulowany kaptur, wystarczająco duży, aby zmieścić się w nim kask. Najwyższej jakości tkaniny i wypełnienie sprawiają, że jest to jedna z najlepszych kurtki na rynku.

Cena: ok. 960 zł
cumulus.pl



NA WYPRAWY QUECHUA EXTEND 80-120 L

Torba transportowa przeznaczona na wyprawy trekkingowe. Wymiary dla 80 l: 74 cm × 45 cm × 40 cm. Waga: 1,75 kg. Objętość regulowana dzięki systemowi Extend. Jest łatwa w transporcie. Dzięki wzmocnionym tkaninom i szwom jest wytrzymała na ścieranie. Wewnętrzna kieszeń, paski kompresyjne, miejsce na etykietę i dodatkowe szelki wpływają na łatwość użytkowania. Nie zawiera PCV. 10 lat gwarancji.

Cena: ok. 250 zł
www.decathlon.pl



TRZY W JEDNYM JACK WOLFSKIN KALARI KINGSTON KIT 56+16

Ultralekki zestaw plecaków oraz worka turystycznego dla osób planujących kilkudniową wędrowkę. Produkt wytworzony z materiałów recyklowanych, wyróżnia się mechanizmem w postaci dodatkowych przypięć umożliwiających połączenie plecaków. Różnorodność konfiguracji pozwala spiąć je w jeden duży na plecy, dwuczłonowy – rozdzielony na przód i tył dla równego rozmieszczenia ciężaru – bądź dwa niezależne. System ACS ułatwia przepuszczanie powietrza i dobre dopasowanie do pleców. Dodatkową ochronę zapewnia zintegrowany pokrowiec na deszcz i przeciw zniszczeniom.



Cena: ok. 860 zł
www.jack-wolfskin.pl

Cena: ok. 1100 zł
www.milo.pl



POLSKA MARKA MIŁO GAJA

Techniczna kurtka alpinistyczna wykonana z wytrzymałej, nieco elastycznej tkaniny połączonej z trzywarstwową membraną Gelanots® (20 000 mm/H₂O, 34 000 g/m²/24 h). Kieszenie są umieszczone wyżej, aby zapewnić łatwy dostęp podczas noszenia plecaka z zamkniętym pasem biodrowym, a w pełni regulowany kaptur pasuje na kask. Wyposażona w cztery kieszenie, z których jedna jest dostępna od wewnątrz. Ma regulowane mankiety i obwód dołu oraz wentylację pod pachami i podklejone szwy.

INNOWACYJNY KEEN VENTURE WP

Najbardziej innowacyjny, lekki but do szybkich podejść, zbudowany z myślą o maksymalnej wydajności. Cholewka ma wzmocnienia TPU dla większej wytrzymałości buta. Membrana Keen.Dry zapewnia wodoodporność, system Cleansport NXT™ – świeżość stóp, a wkładka o podwójnej gęstości zwiększa komfort.



Cena: ok. 600 zł
www.keen.pl

MAKARON W SOSIE ŚMIETANOWYM Z KURCZAKIEM I SZPINAKIEM TREK'N EAT LIOFILIZAT

Firma Trek'N Eat jest liderem na europejskim rynku żywności ekspedycyjnej i turystycznej. W 2004 r. weszła w skład grupy Katadyn – firmy specjalizującej się w produkcji sprzętu outdoorowego. Trek'N Eat oferuje niezwykle szeroki zakres żywności liofilizowanej, w której skład wchodzi: taka z pojedynczymi składnikami i dodatkami, poprzez przekąski i zupy, aż po wyśmienite w smaku dania główne. Przyrządzenie jest bardzo łatwe – należy wlać wrzącą wodę do woreczka, nie przekraczając zaznaczonej w nim linii, zawartość dokładnie wymieszać, woreczek zamknąć i pozostawić do naciągnięcia przez 5 minut.

Cena: ok. 30 zł
www.ravenco.eu



DOSKONAŁOŚĆ WHYTE T-130 SR

Po wielu nagrodach zdobytych przez rowery z serii T-130 (m.in. Bike of the Year 2016) tegoroczna kolekcja przeszła kolejne zmiany. Dodano skoku w widelcu do 140 mm, przez co zmieniła się geometria roweru. Zwiększone do 2,6" opony zapewniają jeszcze lepszą przyczepność i trakcję. Ponadto model jest wyposażony w świetne zawieszenie Fox Performance i 11-rzędowy napęd Shimano. Dlatego to jeden z najlepszych dostępnych na rynku rowerów trailowych, nie tylko ze względu na jakość, ale również z uwagi na cenę. To idealny wybór dla osób szukających uniwersalnego roweru górskiego.

Cena: ok. 11 800 zł
www.whyte.pl



SCARPA F1

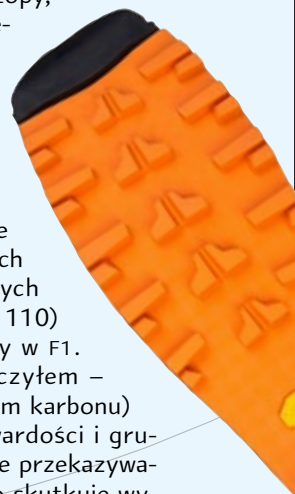
Bum na skitouring trwa w najlepsze. Wraz z rozwojem tej odmiany narciarstwa rosną wymagania i świadomość konsumentów. Moja dotychczasowa aktywność zimowa to głównie narciarstwo biegowe, alpejskie (na

przygotowanych stokach) i oczywiście turystyka czy wspinaczka. Nadszedł najwyższy czas, by sprawdzić, na czym polega fenomen skitouringu. Dlatego postanowiłem najpierw przetestować buty, które według wielu specjalistów są produktem nr 1. Wybór padł na renomowaną włoską firmę Scarpa. Następnie dopasuję narty oraz wiązania i foki.

Testowany model to Scarpa F1. Przez wiele osób są uznawane za jedne z najbardziej uniwersalnych butów. Wygodne, lekkie, odpowiednio sztywne przy zjazdach, zaawansowane technologicznie. Jeszcze podczas ich przymierzania w siedzibie dystrybutora odniosłem wrażenie, że konstrukcja jest niezwykle przemyślana i mimo pozornego skomplikowania – bardzo prosta i wygodna w obsłudze. Zdecydowanie przyjemniej jest zakładać te buty niż typowe zjazdowe. Po włożeniu stopy, nawet bez wcześniejszego termoformowania, czuję się komfortowo.

Warto wyjść 2–3 razy w teren i dopiero wtedy je termoformować. Ponadto pamiętajmy, aby wybrać buty najmniejsze z tych, w których jest nam wygodnie. But skitouringowy musi być jak najlepiej dopasowany do stopy, aby podczas podchodzenia nie unosiła się pięta.

Buty zostały wykonane z bardzo lekkiego materiału, który charakteryzuje się jednak wysoką wytrzymałością. Miałem pewne obawy, czy po wielu latach jeżdżenia w dość twardych butach zjazdowych (flex 110) przystosują się do jazdy w F1. Bardzo miło się zaskoczyłem – użycie materiałów (w tym karbonu) o różnych stopniach twardości i grubości pozwala na świetne przekazywanie sił z nóg do nart, co skutkuje wyśmienitą kontrolą w czasie zjazdów. A jeździłem po odwilży i późniejszych przymrozkach. Zwrócę jeszcze uwa-



gę na wykonanie języka – nie tylko na odpowiedni kształt i wycięcia, ale i na materiał. Jak informuje producent, to Pebax®, który zachowuje odpowiednią elastyczność nawet w niskich temperaturach. Umożliwia on bezproblemowe zakładanie i ściąganie butów, a także ułatwia chodzenie. Z kolei skorupę wykonano w systemie Axial Alpine Evo Technology, który zapewnia maksymalną wygodę i optymalne dopasowanie do nogi. Podobno buty świetnie współpracują z rękami w czasie podejmowania wyzwań skialpinistycznych – niestety nie miałem jeszcze możliwości tego sprawdzić.

Zastosowany nowoczesny system F1 Lever służy do przełączania pomiędzy trybami chodzenia i zjazdu. Nie ma w nim elementów na stałe łączących dolną część skorupy i cholewkę. Dzięki temu mamy płynność ruchów i swobodę w czasie podchodzenia (gdy cholewka porusza się do przodu i do tyłu). Całość jest bardzo łatwa w obsłudze i zmiana trybu zajmuje moment, co zapewnia wysoki komfort użytkowania nawet na trasach o bardzo różnicowanej rzeźbie terenu.

Teraz kilka słów o regulacjach i zapięciach. W dolnej części znajduje się BOA®. To pokrętło napinające stalową linkę pozwala w kilka sekund dopasować but do śródstopia. Tego typu rozwiązanie znam dobrze z butów kolarskich (testowane 4/2016). W Scarpa F1 działa równie dobrze – pozwala na szybkie i bardzo precyzyjne dopasowanie buta do stopy – oczywiście w zależności od tego, czy podchodzimy, czy zjeżdżamy. Jest niezawodne i łatwe w obsłudze – nawet w grubych rękawiczkach. Wysoka precyzja działania ułatwia odpowiedni dobór siły zapięcia buta. W górnej części umieszczono klamrę FBC (Fast Buckle Closure). Połączenie jej z szerokim paskiem z rzepem daje możliwość optymalnego wyregulowania całości.

Nad klamrą umieszczono tradycyjny pasek z rzepem, który pozwala dodatkowo dociągnąć język i zapewnić perfekcyjne dopasowanie na piszczelach – co jest szczególnie ważne przy zjazdach w trudnym

terenach. Ale jeśli chcemy, pasek można również całkowicie usunąć. Jako że to buty przeznaczone również do skialpinizmu i w zasadzie też do zaawansowanej turystyki zimowej, mają podszewkę Vibram® – model Scarpa UFO Evo. Nie muszę chyba przekonywać, że działają bardzo dobrze.

Na uwagę zasługuje również aspekt bezpieczeństwa – umieszczenie w Scarpa F1 reflektora systemu Recco. Dzięki niemu mamy zwiększone szanse



Cena: ok. 2300 zł
www.himalsport.com.pl



odnalezienia w przypadku zasypania przez lawinę, oczywiście przy użyciu detektora lawinowego.

Najważniejsze cechy butów Scarpa F1:

- Lekki model doskonale przystosowany do szybkiego zdobywania szczytów i skialpinizmu.
- Dopracowana skorupa, wykonana z materiału Primary HP Poliamid.
- Usztywniające panele z włókna węglowego Carbon Core Technology.
- Optymalne usztywnienie cholewki dzięki systemowi X-Cage Evo.
- Język Evo Tongue z materiału Pebax®.
- Konstrukcja skorupy wykonana w systemie Axial Alpine Evo Technology.
- Łatwa w obsłudze klamra FBC (Fast Buckle Closure).
- Szybkie i precyzyjne zapinanie BOA® w dolnej części buta.

- System F1 Lever, pozwalający na szybkie przełączenie pomiędzy trybem chodzenia i zjazdu.
- Ruchomość cholewki wynosząca 62° (37° w tył i 25° w przód).
- Pochylenie buta do przodu 20–22°.
- Szerokość buta 102 mm.
- Termoformowalny botek wewnętrzny Intuition Pro Flex Evo.
- Podeszwa Scarpa UFO Evo Vibram®.

- System Recco, zwiększający bezpieczeństwo użytkownika.
- Inerty Quick Step-in.
- Buty kompatybilne z wiązaniami TLT.
- Waga (but w roz. 28): 1298 g.

Zastosowanie nowoczesnych rozwiązań w butach Scarpa F1 sprawia, że są one odpowiednio sztywne podczas zjazdów oraz umożliwiają wygodne podchodzenie. Jestem pod wrażeniem tych butów. Są niezwykle wygodne, lekkie, świetnie dopasowują się do stopy, a wszystkie ich elementy doskonale ze sobą współgrają. To uniwersalne buty, które posłużą wiele lat oraz pozwolą na długie podejścia, fragmenty wspinaczki, a potem zjazdy – zarówno w łatwym, jak i trudnym terenie.

Test: Grzegorz Miedziński





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Podwodni budowniczy

Udokumentowana historia nurkowania w Polsce jest niezbyt znana i dość krótka. Zapoczątkowało ją nurkowanie w hełmie przeprowadzone przez Romana Wojtusiaka w 1935 r. Działania nurków były nieocenione i niezwykle istotne – mieli duży wkład w odbudowę kraju. Po II wojnie światowej oczyszczali baseny portowe i zbiorniki wodne z wraków, min i gruzu. Pomagali także w odbudowie portów, mostów, tuneli i wodociągów.

Nurek zazwyczaj był spuszcany na dno za pomocą platformy i tak samo wracał na powierzchnię. Praca wymagała wiele wysiłku i odbywała się w niezwykle trudnych warunkach. Nurkowie musieli się mierzyć z przenikliwym chłodem, ciasnotą, ciemnością, ociężałością i napierającymi prądami wodnymi. Ciężki i sztywny skafander oraz masywne buty ochronne, w których chodzenie wymagało nie lada wysiłku, niemalże uniemożliwiały poruszanie się w toni wodnej. Taki sprzęt ważył przeszło 100 kg, a przy jego zakładaniu pomagały dwie osoby. Jednocześnie przy zakładaniu skafander niekiedy trzeba było rozchyłać specjalną łyżką, by można się z niego wydostać.

Nurkiem nie mógł zostać każdy. Aspirująca osoba musiała spełnić szereg wymogów zdrowotnych i fizycznych, takich jak wystarczająca pojemność i dobra kondycja płuc, duża siła mięśni, a nawet abstynencja.

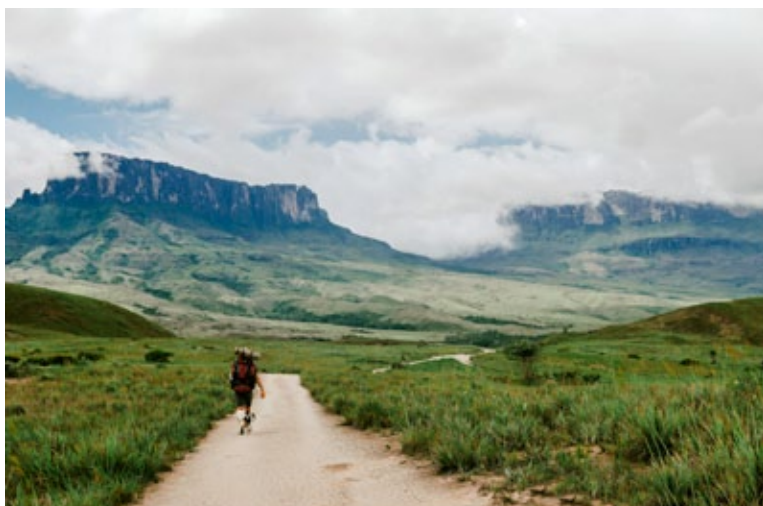
Na zdjęciu: Nurek przy pracy podczas budowy jazu na Sanie, 1931–32 r.



FRANCJA – BRETAŃSKIE WĘDRÓWKI



PRZEZ SUDAN WZDŁUŻ NILU



WENEZUELA – SAM NA SAM Z RORAIMĄ

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krystofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczesna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



Znajdź nas w cyfrowym kiosku
Publico24 Newsstand



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie





CHECKPOINT

Piękno dzikich i wyboistych dróg, ich pewnego rodzaju romantyzm sprawia, że z tęsknotą w duchu spoglądamy w ich stronę, ale to, gdzie te mało uczęszczane drogi nas zaprowadzą i co może nas spotkać podczas podróży powoduje, że wciąż ich poszukujemy.

Dowiedz się więcej na trekbikes.com

TREK